

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 sierpnia 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
74 NUMER PISMA

Sygnaly

dwutygodnik • sprawy społeczne • literatura • sztuka.

ZWI BRAUN

ŻYDOWSKI RUCH WYZWOLEŃCZY*

We wspaniałym gmachu Ligi Narodów, którego wartość muzealna nie ulega już dziś dla nikogo wątpliwości, toczyły się niedawno obrady komisji mandatowej nad przyszłością prawną Palestyny. W roku bieżącym obrady te nabrały szczególnej wagi. Przedmiotem ich była bowiem „Biała Księga”, ogłoszona dn. 17 maja r. b. w wyniku skrupulatnych badań wewnętrznych stosunków Palestyny, przeprowadzonych przez dwie komisje oraz przewlekłych pertraktacji z Arabami i Żydami.

„Biała Księga” przewiduje utworzenie „samodzielnego” państwa palestyńskiego po upływie dziesięcioletniego okresu przygotowawczego. Władzę w tem państwie sprawować ma przedstawicielstwo całej bez wyjątku ludności, przyczem stosunek składu ilościowego przedstawicieli obu narodów musi pozostać jak 2:1 z przewagą ludności arabskiej. Okres przygotowawczy ma polegać na: 1) umiejętnym regulowaniu przez „wysokiego” komisarza migracji żydowskiej i zakupów ziemi tak, żeby liczba Żydów nie przekroczyła nigdy 1/3 ludności Palestyny i 2) na stopniowym usamodzielnianiu się kraju. W ten sposób „Biała Księga” kładzie przyszość Palestyny w ręce akcji arabskiej, ponieważ w dzisiejszym stadium społecznego zróżniczkowania Arabów, tylko ona może uzyskać władzę; jiszuw żydowski skazuje zaś na zamknięcie dopływu nowych kapitałów i nowych sił pionierskich, koniecznych dla dokonania wyzwolenieckiego dzieła.

W związku z ogłoszeniem „Białej Księgi”, Independent Labour Party (angielska Niezależna Partja Pracy) wysłała do wszystkich mas pracujących w Palestynie odezwę, w której czytamy:

„W chwili przełomowej przesyłamy Wam w imieniu socjalistów brytyjskich słowa sympatii i solidarności w walce. Imperjalizm brytyjski i rządy państw faszystowskich nie troszcza się wcale o dobro mas arabskich czy żydowskich. Ich jedyną tendencją jest użycie Waszych obu narodów jako narzędzia w krwawej grze imperjalistycznej konkurencji... Odpowiedzią mas żydowskich i arabskich (na „Białą Księgę” — przyp. mój, Z. B.), powinno być zjednoczenie przeciw imperjalizmowi brytyjskiemu i wspólne dążenie do stworzenia w Palestynie samodzielnego, dwunarodowego państwa robotniczego. Tylko dwunarodowa polityka może rozwiązać kwestię socjalnego i narodowego wyzwolenia obu narodów i zapewnić wolną migrację żydowską do Erec-Israël”.

Odezwa ta jest czemś nowem w dziejach stosunku światowego ruchu socjalistycznego do dzieła wyzwolenieckiego mas żydowskich. Doniedawna cały ruch socjalistyczny, dziś zaś znaczna jego część stoi na zdecydowanie antysyjonistycznym stanowisku. Pobieżne reportaże, drukowane czasem w pismach socjalistycznych z wyrazami sympatii dla wspaniałego dorobku nowego, zdrowego życia narodu, tworzącego się w Palestynie, nie mają nic wspólnego z ideologiczną postawą wobec syjonizmu jako ruchu kolonizacyjnego i są wynikiem raczej estetyczno-społecznych doznań, niż rozumowania politycznego.

Dadzą się tu odróżnić trzy stanowiska: jedni socjaliści — takich spotykamy najczęściej w Polsce — są zgola wobec syjonizmu obojętni. Zrażeni pozornem jego pokrewieństwem z antysemityzmem (nie ulega

wątpliwości, że wzmocnienie antysemityzmu pociąga za sobą wzmocnienie fermentu wśród mas żydowskich, jednakże źródło dążenia tych mas do odrodzenia leży znacznie głębiej, bo w strukturze gospodarczej Żydów na całym świecie —), twierdzą, że syjonizm nie rozwiąże kwestji żydowskiej, która z natury swej jest organicznie związana z anomalją kapitalistycznego ustroju i wraz z jego upadkiem zginie i ona. (Jerzy Borejsza, „Sygnaly”, nr. 71). Drudzy zaś, o wiele liczniejsi, twierdzą na zasadzie analizy stosunków między ludnością arabską a imigrantami żydowskimi, że syjonizm jest ruchem zgruntu imperjalistycznym, jego realizacja bowiem pociąga za sobą zubożenie mas arabskich, spychanie ich z gruntów, niszczenie podstaw ich istnienia. Tak więc socjalista, stykający się ze sprawami palestyńskimi, powinien kategorycznie zwalczać syjonizm, popierać natomiast mocno ruch narodowo-arabski, skierowany przeciwko Żydom. Stanowisko takie znajduje oparcie w dawnej rewolucyjnej taktyce kolonialnej Lenina, dziś zresztą mocno już tracącej myśzką; polegała ona na ustawicznym rozbudzaniu powstań narodowo-wyzwolenieczych w kolonjach.

Ale nawet i ci spośród postępowców, którzy dotychczas darzyli ruch syjonistyczny „życzliwą neutralnością”, zalecają mu teraz pogodzić się z „Białą Księgą” i na „dobrą wolę, rozważę, poczucie wdzięczności i honoru zobowiązań Anglii liczyć w dalszym ciągu zmiennej kolei losów”, ponieważ „w burzy dziejowej i w zależności od zwycięstwa osi lub porażenia decydująco się będzie już nie sprawa rozwoju i szybkiego postępu migracji żydowskiej...”, lecz kwestja samego istnienia lub ruiny siedziby narodowej żydowskiej” (Jan Dąbrowski w „Czarno na Białem”, nr. 101). Takie poglądy na sprawy, związane z przyszłością Palestyny, są bardzo niebezpieczne dla syjonizmu, którego jedynym, ewentualnym, sojusznikiem po zdradzie Anglii i jej sprzeniewierzeniu się własnym zobowiązaniom międzynarodowym, — są siły demokracji światowej, w pierwszym rzędzie potężny ruch robotniczy. Poglądy te są również niebezpieczne i szkodliwe dla socjalizmu. nierozwiązana kwestja żydowska jest bowiem wodą na młyn propagandy faszystowskiej we wszystkich krajach, ponadto zaś walka prześladowanego narodu żydowskiego z reakcją arabską czy angielską jest nader ważnym odcinkiem walki prawdziwej demokracji z reakcją światową.

Rozważmy więc istotne intencje, które skłoniły Anglię do ogłoszenia „Białej Księgi” i ewentualne możliwości przeciwstawienia się jej.

DZIEL I RZĄDZ!

Rozbudowując wielkie imperjum, obejmujące dziś prawie 3/4 globu ziemskiego, zrozumiała Anglia, że nie zdoła oprzeć rządów nad tak różnorodnym i potężnym materiałem ludzkim tylko na swojej sile militarnej i dyplomatycznej. Wobec tego nie zawahała się przed oparciem swej władzy na bezsilności, słabości podwładnego. Ideę tę podsunęło jej długowiekowe doświadczenie w stosowaniu polityki „równowagi” na kontynencie europejskim. Największe swoje zwycięstwa zawdzięczała Wielka Brytania tej metodzie. Wyzyskiwanie sprzeczności, wywołanych niejednokrotnie przez ukryte sprężyny rządu J. Kr. Mości, występowanie w roli medjatora, któremu oczywiście przypada najtłustsza część łupu, wszystko to weszło do stałej taktyki rządów kolonialnych Anglii, w postaci dewizy: divide et impera! (dziel i rządź!). Tę metodę, wypróbowaną skutecznie w różnych częściach globu

ziemskiego, postanowiła Anglia zastosować również w Palestynie. Brakło jednak pretekstu do wewnętrznych waśni, ponieważ ludność arabska w Palestynie była wtedy dość nieliczna i nie grzeszyła zbytnią aktywnością życia społecznego — Anglia więc wprowadziła do Erec czynnik trzeci (obok angielskiego i arabskiego): żydowskie osadnictwo kolonizacyjne.

Dążenie mas żydowskich do terytorjalnego skoncentrowania narodu, powstałe w dobie upadku liberalizmu gospodarczego, który dawał Żydom różnorodność możliwości utrzymania się — zostało wówczas silnie zaostrome. Wojna światowa dokonała wielkiego spustoszenia w życiu ekonomicznym Żydów. Partie do Palestyny wzrosło wielokrotnie. Stary lord Balfour ogłosił więc w r. 1917 deklarację, udzielając Żydom prawa do zbudowania w Palestynie siedziby narodowej. Ponieważ jednak prosyjonistyczne nastawienie polityki angielskiej było tylko pozorne i czynnik żydowski miał służyć jako narzędzie do przeprowadzenia imperjalistycznych planów — nie wolno więc było dopuścić do tego, żeby jiszuw żydowski przekroczył zgóry wyznaczone granice, nie wolno było dopuścić do tego, żeby stał się czynnikiem decydującym w gospodarce palestyńskiej, wtedy bowiem równowaga zostałaby zakłócona, — zwłaszcza, że dzieło żydowskie w Erec jest z natury swej kapitalistyczne, podważa więc ustrój feodalny, panujący w kolonjach, i niszczy najpotężniejszy filar rządów imperjalistycznych. Taki stan rzeczy zrodził głęboką przepaść między rozrastającą się coraz szybciej gospodarką żydowską a interesem Anglii i feodałów arabskich. Stary Balfour przewidział chyba ten tragiczny rozwój, zaopatrzył bowiem swoją deklarację w dyskretny przypisek, że rozbudowanie żydowskiej siedziby narodowej „nie może niczem naruszać interesów ludności nieżydowskiej w Palestynie”. Dopisek ten umożliwiał wprawdzie różną interpretację mandatu, nie stwarzał jednak konieczności zasadniczych zmian w ustroju mandatowym kraju. Dla upozorowania konieczności takich zmian posłużyła się Anglia środkiem dość niepopularnym: w porozumieniu z reakcją arabską wywoływała co pewien czas... rozruchy w kraju, terror arabski, fermenty wśród mas. Wydaje się to rzeczą mało wiarygodną, wielokrotnie jednak wykryto już tajemnicze nici, prowadzące od przywódców arabskich band terrorystycznych do brytyjskich agentów. Oczywiście, głównym wykonawcą tych planów był kler i wielcy feodałowie arabscy, ponieważ byli oni niemniej od Anglii zainteresowani w zdławieniu czynnika kapitalistycznego w kraju. Po takich wypadkach przyjeżdżała zazwyczaj komisja królewska celem zbadania przyczyn rozruchów i wkrótce potem rząd brytyjski ogłaszał „Białą Księgę”, ograniczającą migrację żydowską i przypływ żydowskich kapitałów i wynagradzając swoich pupiłów-terrorystów arabskich za świetne wywiązanie się z zadania.

I tak po krwawych rozruchach w Haifie i w Galilei (bitwa pod Tel-Hai, w której padł Trumpeldor), w r. 1922 ukazuje się pierwsza „Biała Księga”, odrywająca od Palestyny Transjordanję i nosząca wolną migrację Żydów do Erec przez wprowadzenie systemu, t. zw. certyfikatów. Te liczne ograniczenia nie mogły jednak wstrzymać naturalnego parcia mas i kapitałów żydowskich do Palestyny. Jiszuw rozrastał się z zawrotną wprost szybkością.

Następne rozruchy (w r. 1929) były już znacznie groźniejsze, Anglija zmierzała bowiem przy ich pomocy do zupełnego zamknięcia Palestyny dla Żydów. Tym razem to się jej nie udało. Nacisk państw demokra-

tycznych z Ameryką na czele zapobiegł tej klęsce.

Dziś jednak nastąpiła odpowiednia dla Anglii chwila. Jiszuw żydowski stał się już decydującym czynnikiem w gospodarce kraju. W rekach Żydów, stanowiących liczebnie tylko 1/3 całej ludności, spoczywa dziś 2/3 wszystkich gruntów plantacyjnych i 70% całego przemysłu. Anglija nie może już dalej czekać ani chwili. Trzeba hermetycznie zamknąć granicę morską, utrudnić zakup ziemi, wstrzymać przyływ świeżych kapitałów żydowskich, zamknąć jiszuw w ciasnym kole „uprzywilejowanej” mniejszości, rzucić setki tysięcy Żydów, szczutych i prześladowanych, na pastwę szowinizmu nacjonalistycznego, oddać rządy Palestyny w ręce reakcji arabskiej.

W wyborze tej chwili zupełnego zbratania się z reakcją feodalną kosztem najżywniejszych interesów mas żydowskich — zdecydowały ponadto dwa ważne motywy:

- 1) Najważniejszym motorem polityki Mr. Chamberlaina i jego zespołu monarchijskiego jest głęboki instynkt klasowy, składający go w dzisiejszym układzie stosunków do sojuszu z wszelką reakcją na świecie;
- 2) Głównym zadaniem polityki premjera brytyjskiego jest skierowanie ekspansji faszyzmu, zwłaszcza hitlerowskiego na krucjąte przeciwko Z. S. R. Mimo, że Chamberlain jest przekonany, że taka krucjata nie jest wcale sprzeczna z interesami imperjalizmu niemieckiego, przecież wie on, że faszizm niemiecki, jak i włoski pożerany wewnętrznie sprzecznościami, musi iść po drodze „mniejszego ryzyka”. By więc rozprószyć ewentualne iluzje „Führera” co do łatwego zagarnięcia krajów Bliskiego Wschodu (i tak już zalanego przez agentów i szpiegów faszystowskich) — trzeba mocniej zwerzeć front brytyjsko-arabski, zaryglować dostęp do Bliskiego Wschodu, skierować żywioł faszystowski w przygotowane (również wschodnie...) koryta. W tym sensie sprzyja „Biała Księga” najogólniejszym zasadom polityki imperjum brytyjskiego w dobie obecnej.

Jak jednak tej konsekwentnej, potężnej linii politycznej przeciwdziałać? Jak ocalić jedyne wyjście dla mas żydowskich, stojących nad przepaścią zupełnej ruiny swego istnienia?

Prowadzą do tego dwie drogi. Mocne i aktywne prosyjonistyczne stanowisko ruchu robotniczego na całym świecie oraz zburzenie przegrody między żydowskimi i arabskimi masami pracującymi. Gdy zaś weźmiemy pod uwagę, że większość socjalistów, ustosunkowujących się nieprzyjaźnie do syjonizmu ma na oku interes Araba - robotnika i Araba - fellacha, wówczas oba te zagadnienia stawiają przed nami jedno i to samo pytanie, na które powinniśmy odpowiedzieć: czy naprawdę istnieje antagonizm interesów między masami pracującymi żydowskimi i arabskimi?

KWESTJA ARABSKA

Ci, którzy widzą antagonizm gospodarczy między interesem mas arabskich a kolonizacją żydowską, motywują swe stanowisko nader prostem rozumowaniem: gospodarka arabska w Palestynie jest jeszcze feodalna. Fellach więc, arabski chłop nie posiada ziemi, pracuje na gruntach pana, effendiego. Gdy zaś ten effendi odsprzedaje swą ziemię Żydom, „cóż się dzieje z fellachem, któremu żydzi pracy nie dadzą (?), którego „Histadruth” (związek zawodowy robotników żydowskich) nie przyjmie, a nikt nie uświadomi?” (W. Grosz w „Czarno na Białem”, nr. 101). Pozostaje mu jedynie umrzeć z głodu, a w czasach rozruchów zaciągnąć się do bandy terrorystycznej.

* Por. Jerzy Borejsza, „O wierność starym sztandarom”, „Sygnaly”, nr. 71; Jan N. Miller, „Odpowiedź Wiktorowi Alterowi”, „Sygnaly”, nr. 72 i „Kwestja żydowska”, „Sygnaly”, nr. 73.

WIKTOR GROSZ

Błędny rycerz „uspokojenia“

Z rozumowania powyższego wynikałoby, że panuje zupełna zgodność interesów między Żydami a reakcją arabską i że narodo-wo-arabski ruch terrorystyczny nie jest inspirowany przez kler arabski, Anglię i wywiad niemiecko-włoski — ale jest żywiołowym ruchem mas fellachów arabskich, wynikającym z ich coraz bardziej pogarszającej się sytuacji gospodarczej.

Jednak, jak często się zdarza w podobnych wypadkach, analiza oparta na zbyt prostym rozumowaniu zawodzi w zestawieniu z prawdziwą rzeczywistością. Przyjrzyjmy się kilku faktom i cyfrom, zaczerpniętym z książki Eliezera Praï'ego, wybitnego działacza socjalistycznego w Palestynie, p. t.: „Prawda o Erec-Israel“.

1) Od 1922 do 1934 r. niezydowska ludność w Palestynie, t. j. arabska wzrosła o 51%. W tym samym czasie w Egipcie o 13%, w Transjordanji zaś, gdzie kolonizacji żydowskiej się nie prowadzi, wzrostu ludności nie było wogóle. Arabów pozbawia masowo ziemi „każdy dunam ziemi sprzedanej Żydom, każdy tysiąc imigrantów żydowskich zmniejsza jeszcze szansę na otrzymanie pracy“ (N. Grosz w „Czarno na Białym“, nr. 101), a mimo to „pchają się“ Arabowie do Palestyny, chyba tylko jak muchy na lep... Ale to jeszcze nie.

2) Przed wojną wywędrowało 2000 Arabów z samej tylko Jeruzolimy. Po wojnie emigracja arabska spadła do 600 w całym kraju.

3) W latach 1932—33 przeprowadził rząd gruntowne badanie, by stwierdzić ilość bezrolnych, którzy są wynikiem żydowskiej kolonizacji. Śledztwo zostało przeprowadzone w czasie, kiedy rząd mandatowy był zainteresowany w tem, by wykazać, że wielu Arabów zostało z gruntów zepchniętych przez żydowską kolonizację. Na tej podstawie Anglia chciała ograniczyć imigrację Żydów albo nawet zupełnie ją wstrzymać. To badanie stwierdziło, że spośród 64.000 arabskich rodzin wiejskich w przeciągu 10 lat straciło swoje grunta wskutek osadnictwa żydowskiego zaledwie 656 Arabów! Podkreślamy tę cyfrę. 400.000 Żydów w Palestynie i 656 bezrolnych! Należy nadto zaznaczyć, że tylko mała część tych Arabów wyraziła swoją gotowość skorzystania z możliwości kolonizacyjnych, które otworzył przed nimi rząd, t. zn., że pozostali, t. j. część bezrolnych sama urządziła się w innych gałęziach produkcji, przynoszących większe dochody. Na czemże więc jest oparte twierdzenie o jakiegokolwiek sprzeczności interesów, powstałej na tem tle?

Jeżeli jednak przekonaliśmy się, że kolonizacja żydowska nie pogarsza sytuacji gospodarczej Arabów, zobaczymy, czy ta kolonizacja jej nie polepsza?

4) Niezwykle wzrosła liczba arabskich robotników. Nie tylko ani jeden arabski robotnik nie został wypchnięty z arabskiej gospodarki, ale również w żydowskich przedsiębiorstwach, szczególnie w kapitalistycznych kolonjach, które zostały stworzone dzięki żydowskiej imigracji i napływowi żydowskich kapitałów, pracuje do 12 tysięcy robotników. Tysiące otrzymały pracę na kolejach, poczcie, na robotach publicznych, które wzrosły w tak znacznym stopniu tylko dzięki kolonizacji żydowskiej.

5) W przeciągu 12—14 ostatnich lat płaca robocza w Palestynie wzrosła o 200%. Przeciętna płaca robotnika arabskiego w Palestynie wynosi 3 szylingi, w Egipcie zaś — jeden szyling.

6) O rozwoju gospodarki arabskiej niech świadczy fakt, że w r. 1922 było 7.500 akrów plantacji, z tego 65% należało do Arabów a 35% do Żydów. Dziś znajduje się 65.000 akrów plantacji, z tego 50% należy do Arabów, a 50% do Żydów. Wprawdzie żydowskie tereny plantacyjne zwiększają się szybko, nie dzieje się to jednak kosztem plantacji arabskich, które również znacznie wzrosły.

Przytoczone fakty rozpraszają całkowicie mit o antagonizmie między Żydami a Arabami. Zaznacza się przez to wybitnie charakter postępowy kolonizacji żydowskiej w Erec.

Jasną jest teraz rzeczą, że szeroko rozpowszechniona w kołach demokracji i socjalizmu opinia niechętna żydowskiemu ruchowi wywołanemu oparta jest na fałszywych przesłankach. Walka socjalistycznych syjonistów o zdrowy, ludzki i narodowy byt spauperyzowanych i pozbawionych praw mas narodu żydowskiego powinna znaleźć czynne poparcie całego ruchu robotniczego na świecie.

Przypomnijmy jeszcze raz odezwę angielskiej I. L. P.: „Trzeba bezwzględnie położyć kres nienawiści narodowej między masami żydowskimi i arabskimi. Trzeba bezwzględnie otworzyć szeroko bramy Erec-Israel przed masami żydowskimi, przesłanymi przez faszyzm i szukającymi schronienia w tej najczarniejszej godzinie ich dziejów. Trzeba walczyć o ludzkie warunki życia dla mas robotniczych i chłopskich obu narodów w Palestynie i położyć kres wyzyskowi kapitalistycznemu“.

Zwi Braun

Prenumerata jest podstawą bytu i rozwoju „Sygnałów“

Nigdy jeszcze w naszych dziejach zainteresowanie dla polityki angielskiej nie było w Polsce tak silne, jak w dobie obecnej, nigdy każdy ruch przemjera i ministrów angielskich pilnie śledzony, nigdy uwaga Polaków silniej skupiona na posunięciach polityki angielskiej, niż to widzimy dzisiaj.

Nic dziwnego. Gra sił politycznych zaszła już tak daleko, że na szali wydarzeń dziejowych waży się sprawy najistotniejsze, sprawy panowania nad światem. W tej grze rozgrywka o Gdańsk, o autostradę, o niepodległość Polski wysuwa się na pierwsze miejsce. W rozgrywie zaś o Gdańsk, obok partnerów bezpośrednich, najważniejszą rolę odgrywa główny „kibic“ — Anglja. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w pewnej fazie zagadnienia gdańskiego więcej zależy od polityki angielskiej, niż polskiej; mam na myśli tę fazę, gdy Hitler jeszcze nie przeszedł do bezpośredniej aneksji, gdy jeszcze się waha, bo naturalnie, po ewentualnym zamachu z jego strony czynnikiem decydującym stanie się przede wszystkim Polska.

Dzisiaj jednak Anglja może jeszcze zdecydować o pokoju świata, o mniej lub bardziej korzystnym układzie sił w razie wybuchu wojny. Tysiącami nici ekonomiczno-politycznych ciągnie za sobą Anglja Francję, przemożny wpływ wywiera na kierunek polityki Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, nadewszystko zaś — groźna jej potęgą jest czynnikiem, z którym jeszcze liczą się państwa napastnicze.

Ostatni miesiąc dostarczył nam wielu okazji do obejrzenia na jaskrawych przykładach kierunku polityki obecnego rządu angielskiego. Na podstawie nowych posunięć rządu Chamberlaina możemy wysnuć wiele wniosków o jego zamiarach na najbliższą przyszłość. Możemy przedewszystkiem zorientować się, czy premier angielski chce tym razem wreszcie prawdziwego pokoju, czy też znów marzy o „uspokojeniu“. Partnerzy ze sławetnego trójkąta Berlin—Rzym—Tokjo postarali się o to, żeby nam przykładu nie zabrakło.

A więc sprawa najjaskrawsza — Tientsin. Pamiętamy mniej więcej, jak to tam było. Prestige angielski został przez Japończyków brutalnie spowinieriany blokadą tego portu, szyskaniami wobec obywateli angielskich, próbą ogłodzenia koncesji międzynarodowej i t. p. Po krótkim czasie okazało się, że Japończykom bynajmniej nie chodzi o samą tylko abstrakcyjną „satisfakcję“ poniżania Anglików. Nie, Tokio wysunęło konkretne żądania, dotyczące przede wszystkim uznania przez Anglików status quo w Chinach i wstrzymania się Anglii od udzielania pomocy walczącym o niepodległość Chińczykom. Japonja zażądała znanej już nam dobrze, jednostronnej „nieinterwencji“. Anglja na to ogromne ustępstwo — ustępstwo prestige'owe i polityczne — poszła, rozmowy w Tokio toczą się nie na te-

LUDWIKA OBROWICZÓWNA

KORSYKA WYSPA WIECZNIE GOREJĄCA

„Czyż Francja nie jest dość bogata? Flandrja daje jej swój węgiel, Normandja swe trzody, Beauce swe zboża, Langwedocja swe wino i Lotaryngja swą stal, dlaczego nie miałyby mieć Korsyki poprostu — dla jej piękności?“ (Pierre Morel: „La Corse“. Grenoble, B. Arthaud).

Oto rozpoczynamy podróż poprzez wiekowe miasta i jakiegokolwiek zwiedzimy, mamy przykład kraju, w którym dziś żyje się tak samo jak i przed dwu wiekami.

To od Ajaccio należy rozpocząć drogę do serca Korsyki. Odrązu wychodzi nam naprzeciw Napoleon, ale nie ten na koniu, nie podpalacz Europy, ale Napoleon, który był tu kiedyś dzieckiem, biegał półnagi po słońcu, był uczniem, potem porucznikiem, spędzającym tutaj urlopy. Ajaccio pamięta wszystko...

Rok 1768. Korsyka staje się francuska, wraca wreszcie po tylowiekowych zamieszkach i zdradach atmosfera pokoju. Przez setki lat wymykała się bohaterko zachłanym palcom Genui i Rzymu. Rok 1768 pozwala brodatemu pasterzowi spokojnie spoglądać na niebo. Sto siedemdziesiąt lat później mała iskierka ledwo tłacza grozi nowym pożarem. Odwieczny wróg, Italja, chce znowu rozżagwić ogień na nieszczęsnej wyspie. Szczęściem dla niej, że pedząc wprzód gigantyczne wypadki w samej Europie, odwrócili od niej oczy dyktatora.

Ajaccio! Oto dusza Korsyki. Aleje Napoleona! Oto dusza Ajaccio. Miasto ukazuje się tutaj w swej roześmianej urodzie. Między piątą a siódmą spacerują młode dziewczęta, zgrabne, o jasnych oczach, brązowych włosach, ubrane według ostatniej mody. Wzdłuż tej ładnej arterji grupują się główne kawiarnie. Na tarasach zalanych słońcem ludzie mówią z ożywieniem o polityce. Francuski i korsykański mieszają się na ich wargach; gestykulują żywo, mówią o wyborach, albo o tych ostatnich, albo o tych, które już się przygłotowuje gorączkowo i tajemniczo, bo wybory są tu wielką

mat samego tylko incydentu tientsińskiego, ale obejmują też „tło“ ogólne wydarzeń, czyli mówiąc poprostu — zagadnienie wojny w Chinach, wojny, której Japonja nie jest w możności wygrać bez pomocy „nieinterwencji“.

Niepodobna poprostu dostatecznie podkreślić znaczenia tego pierwszego kroku w kierunku Monachjum Dalekiego Wschodu, Monachjum już nie tylko kosztem Chin, ale i kosztem samych interesów brytyjskich. Anglja nie tylko rozzuchwała w ten sposób Japończyków, którzy niewątpliwie wnet wysuną żądania dalsze, nie tylko zniechęca Stany Zjednoczone do współdziałania z blokiem demokracji europejskich. Nie, tutaj dzieje się coś jeszcze gorszego, coś, co nas, Polaków, obchodzi szczególnie mocno. Ustupając bez walki na Dalekim Wschodzie Anglja daje europejskim partnerom Japonji niedwuznacznie do zrozumienia, że duch Monachjum w dalszym ciągu posiada przemożne wpływy na Downing Street. Prestige jest niepodzielny, jak to pięknie zdefiniował „Manchester Guardian“. Dla nas zresztą nie ulega wątpliwości, że to właśnie europejscy dyrygenci osi kazali Japonji incydent tientsiński rozpetać, aby z jednej strony uwikłać Anglię w pozaeuropejskie trudności, z drugiej zaś strony, na podstawie reakcji angielskiej zorientować się, czego należy po Chamberlainie oczekiwać...

Rzecz prosta, pokoju na Dalekim Wschodzie Anglja kosztem tego, ani żadnego innego ustępstwa, nie zdoła. Zdobędzie tylko chwilowo — bardzo króciotkie, pozwolę sobie prorokować — „uspokojenie“. A zato skutek w Europie będzie i już jest jak najgorszy, gdyż Hitler nabiera przekonania o skuteczności polityki września 1938 roku w sierpniu 1939.

W Europie ma premier Chamberlain na swoim koncie posunięcia osobne, równie interesujące i znaczące jak gra tientsińska. Przedewszystkiem więc sprawa paktu angielsko - sowiecko - francuskiego. Z licznych zapytań, kierowanych pod adresem premiera w Izbie Gmin, wolno wnosić, że przeważająca część opinji angielskiej składa winę za przewleknięcie się rokowań na rząd Chamberlaina, nie zaś na Francję, albo Sowiety. Zawarcie paktu mogłoby jeszcze w ostatniej godzinie uratować pokój; bez paktu Chamberlain może się starać co najwyżej o „uspokojenie“ Hitlera. Tym razem jednak karmienie bestji ludzkim mięsem nie uda się, bo to mięso miałyby być nasze, polskie. Toteż słowa marszałka Śmigłego-Rydza, który zapowiedział, że będziemy się bronili „nawet bez sojuszników“, wypadły tak bardzo na czasie, jak żadne inne oświadczenie żadnego z europejskich mężów stanu.

Stan opinji publicznej Anglii jest taki, że możemy w każdej chwili liczyć na pomoc angielską w potrzebie, jeżeli tylko będziemy się bronili sami, gdy nas Niemcy za-

atakują. Presję tej opinji wyczuwa doskonale i Chamberlain, który rozporządza składa zapewnienia, że nas nie opuści w ciężkim spotkaniu z napastnikiem. Tylko, że każdemu z takich zapewnień towarzyszy zawsze oświadczenie, że wszystko można załatwić „pokoju“. Naturalnie, w chwili, gdy strona przeciwna, napastnicza, podkreśla swoją nieodwołalną decyzję przyłączenia Gdańska, załatwienie „pokoju“ mogłoby mieć tylko jedno znaczenie, to właśnie, którego życzy sobie Hitler. Niech się Polska nie broni, powiadają hitlerowcy, niech się zgodzi na nasze żądania, wtedy naprawdę nie będzie wojny. To prawda, że wtedy byłoby „uspokojenie“. Tylko my wiemy, czem ono pachnie i wołamy od niego wojnę.

Premjer Chamberlain zapewnia Niemcy, że nie zgodzi się na ich zwycięski, bezkrawawy pochód zaborczy, to prawda. Ale najwybitniejsi zwolennicy wstrzymania tego pochodu, ludzie nie z opozycji lewicowej, ale z jego własnego obozu, Duff Cooper, Anthony Eden, nadewszystko zaś Winston Churchill, znajdują się poza gabinetem brytyjskim, choć ich powrotu do rządu domaga się cała Anglja, z opozycją lewicową na czele. Od tych ludzi nie różni premiera ideologia, nie różnią sprawy polityki wewnętrznej, w polityce zagranicznej zaś głosi odniedawna Chamberlain te hasła, które owi ludzie wysuwają już oddawna znacznie energiczniej. Zdawałoby się więc, że nic nie stoi na przeszkodzie powrotowi „nieprzejednanych“ na Downing Street. Tylko... Tylko, że oni chcą pokoju, nie zaś „uspokojenia“...

Nie będę mnożył przykładów, które dowodzą, że dzisiaj, kiedy jesteśmy na wulkanie, rząd Chamberlaina wciąż jeszcze myśli o „uspokojeniu“. Nie jest to potrzebne. Wydaje mi się, że głęboko naiwna (nazwijmy to tak) polityka premiera angielskiego, który ma za sobą „tryumf“ monachijski (i szczyt się nim po dzień dzisiejszy!), powinna być oczywista dla każdego.

Zaznaczam jeszcze raz, że bynajmniej nie zamierzam osłabiać w czytelniku wiary w ewentualną pomoc angielską w razie naszej wojny z Niemcami. Nie podobnego. T pomocy jestem najzupełniej pewien, ale nie dlatego, że Chamberlain o niej zdecydował, tylko właśnie z tej przyczyny, że my o niej zdecydujemy sami, chwytając zgodnie za broń dla walki o utrzymanie niepodległości. Chamberlain, gdyby nawet był najgorszy, byłby zbyt słaby, aby nam nie dopomóc.

Chodzi mi o co innego, o to mianowicie, co się w Europie będzie działo do wybuchu wojny. Na to Chamberlain ma wpływ ogromny, powiedziałbym — decydujący. Jeżeli jest jeszcze w mocy ludzkiej zapobiec wojnie, to poza Hitlerem mógłby to uczynić tylko jeden człowiek. Jest nim właśnie Neville Chamberlain. Ale na to musiałby przestać wreszcie myśleć o „uspokojeniu“ i zająć się ratowaniem pokoju.

cel dla kul Korsykańczyków, Gaffori po krótkim wahaniu dał rozkaz: „Ognia!“

W corte niema wspaniałych pomadków, ale niema domu, ani nawet kamienia, któryby nie był związany z jakimś wspomnieniem przeszłości bitnej, odwagi i szaleństwem graniczącej.

Pisali o Korsyce Prosper Merimée, którego natchnęła do stworzenia „Colombi“, Alexander Dumas, Flaubert, Maupassant, Alphonse Daudet, Edmond About, Bergerat, wznowił tę tradycję Pierre Morel, który pierwszy dał jej nie rolę tylko tła działaniom ludzkim, lecz główną rolę rzeźbiarza charakterów i losu mieszkańców. Nie ludzie tworzyli jej historję, tylko ona swem położeniem zgóry predestynowała ich na ustawicznych bojowników, swym klimatem i ziemią niekiedy musowała ich do ciężkiej walki o chleb, ona kształtowała ich życie. Z kart „Korsyki“ bije gorąca miłość dla ludu wiernego swym przyjaciołom, nieprzejednanego wobec wroga, gotowego do każdej ofiary. Po długotrwałym pobyciu na wyspie, Morel postanowił pokazać światu Korsykę nie upiększoną sztucznie przez poetów, lecz realną Korsykę silnie rozwiniętego bandytyzmu, vendetty, ale i bohaterstwa, z jej górami i lasami, morzem i żywną ziemią orną, wspaniałymi galerjami obrazów, luksusowymi willami i szosami, których pozadrościłby jej niejeden kraj w Europie. Pierre Morel zna ludzi i kraj, o którym pisze, nawygot. Zna ich słabości i wady, dostrzega ze wzruszeniem przebliski wielkości, spotyka ich w najrozmaitszych chwilach życia, zna ich radość i lzy, ludzi miasta i gór.

Często piro jego nie umie sprostać wszystkim słowom, które cisną mu się na papier; zbacza wtedy z obowiązującej drogi, ulega uczuciu, zapomina o formie. Ten brak doskonałego piękna w słowach o pięknie wynagradzają nam fotografie arcydzieł malarzy korsykańskich, zabytków, fragmentów ulic i placów, typów regionalnych. Książka wydana bardzo starannie.

ZYG MUNT JAROSZ

ZAGADNIENIA ŻYDOWSKIE

S. J. Imber. Kąkol na roli. Lwów, Biblioteka „Oko w oko“, 1938; str. 159 i 1 n.

Osobą, której publicysta żydowski poświęca najwięcej swych ataków polemicznych, w tomiku tym zawartych, jest osławiony współpracownik hitlerowskiego „Weltdienstu“, ks. Trzeciak. Obserwując tę szermierkę słowną, poznajemy wiele zagadnień w gruncie rzeczy zbędnych, bo fikcyjnych, stanowiących często napół chory plód mózgow, które uległy czadowi antysemityzmu. Cała książka ks. Trzeciaka, p. t.: „Program światowej polityki żydowskiej“, opiera się na rozgłoszonych „Protokółach Mędrców Syjonu“. A protokoły te są od pierwszej do ostatniej strony fałszyfikatami, robiącym zresztą wrażenie „stenogramu z konferencji w domu warjatów“, jak słusznie podkreśla Imber. Dobrze się też stało, że autor „Kąkolu na roli“ nie omieszczał przytoczyć opinii, wyrażonej w tym względzie przez ś. p. ks. dr. Władysława Szczepańskiego, profesora uniwersytetu warszawskiego. Ów kapłan i uczonej w jednej osobie pisał jeszcze kilkanaście lat temu w swem obszernym dziele, p. t.: „Palestyna po wojnie światowej“:

„W imię prawdy zaznaczyć pragnę, że syjonizm nie ma nic wspólnego z znanymi „protokółami mędrców Syjonu“. Jak wykazał p. Graves w „Times“ (sierpień 1921), protokoły Syjonu są plagiatem z francuskiej książki, wydanej przez paryskiego prawnika Maurice Joly'ego, która otwiera rzekome rozmowy dusz Monteskjusza i Macchiavelli'ego. Książka ta wyszła po raz pierwszy w Brukseli w r. 1865 i jeden jej egzemplarz jest jeszcze w British Museum. Porównania, dokonane z tym egzemplarzem wykazują, że Nilus użył jej tylko jako ram do swych „protokółów“. Byłoby rzeczą wskazaną, aby i u nas nareszcie zaprzestano urządzać nagonki na Żydów w imię fałszu i oszczerstwa, jakimi są owe „Protokoły Mędrców Syjonu“.

Demaskuje też Imber różne inne „dokumenty“, zawierające „mowy“ i „listy“, „pewnych“ rabinów, nigdy nikomu nieznanych, „któreto „mowy“ i „listy“ poniekąd odgrywają rolę apokryfów w nieświętym piśmiennictwie żydożerczego szczepu Huzia - Huzia“.

„...wśród nich na pierwsze miejsce wybija się sławetna korespondencja między „rabinem Chamorre“ w Arles, a „Księciem Żydów“ w Konstantynopolu, przyczem jesteśmy świadkami jedynego w świecie fenomenu, iż list z odpowiedzią jest datowany o dwa miesiące wcześniej, niż list, na który odpowiedź tę dano. („List z Arles“, w którym francuscy Żydzi proszą swych tureckich braci o mądre rady w kwestii gnębienia „gojów“, datowany jest 13 szwat 1489, odpowiedź zaś nosi datę 21 kislew 1489). Gdy potem zważymy, że żaden rabin w owych czasach nie datował swych listów według ery chrześcijańskiej i nie podpisywał się nazwiskiem, tylko imieniem swoim — z niezmierną satysfakcją podziwiać będziemy złośliwość kawalarza, który fałszerstwo to wsunął w rękę uczonym żydoznawcom. Przecież już samo nazwisko tego wymyślnego „rabina“ powinno im dużo powiedzieć, gdyby sami nie byli takimi nieszczęśliwymi chamorami, czyli po polsku mówiąc, osłami“.

Operowanie fałszem i fałszerstwami tak dalece stało się drugą naturą niektórych naszych „żydoznawców“, że nie wzdrygają się oni nawet przed fałszowaniem i przekręcaniem słów Ewangelji. Imber cytuje wiele przykładów tej haniebnej (a z katolickiego punktu widzenia: świętokradczej) metody. Tak np. ks. Trzeciak zapewnia swych czytelników, iż Chrystus o Żydach powiedział, że to „rodzaj niewierny i przewrotny“. Odsyła, w których ks. Trzeciak zaopatruje to swoje szachrajstwo, wymieniają: Matth. 17, 16 i Lucas 9, 41. Idąc za temi odsyłacami, przekonujemy się jednak, że Jezus te słowa wypowiedział nie pod adresem ludu żydowskiego, ale do swoich uczniów, którym wziął za złe chwilę nieufności we własne posłannictwo. Gdy ci mianowicie nie mogą uzdrowić przyprowadzonego do nich chorego, rozżalony Mistrz woła: „O, rodzaju niewierny i przewrotny! Dokądże będą z wami? Dokądże was będę cierpieł?“. A gdy następnie sam owego chorego uzdrawia, uczniowie zaś pytają, czemu im się to nie udało, odpowiada im Jezus: „Dla niedowiarstwa waszego...“.

Imber niepotrzebnie może unosi się czasem, niepotrzebnie rzuca efektowne, stylizowane gromy tam, gdzie wystarcza spokojne wskazanie kłamstwa, faryzeuszostwa lub nieuctwa. Łatwo jednak zrozumieć pasję żydowskiego publicysty, gdy wraz z nim przychodzi zgłębiać bajoro antyżydowskich kalumnij. Zwłaszcza, że i dziś pisma wiadomego pokroju, nie przestały prześcigać się w judofobii, dziś, kiedy nawet dzienniki „Ozonu“ zaczynają ostrzegać przed rozbiciem jedności wszystkich obywateli Rzeczypospolitej w obliczu niebezpieczeństwa hitlerowskiego. A wszakże biskupi austriaccy już przed paru laty cytowali z księgi Machabeuszów znamienne zdanie, głoszące, że „szczęście wojenne w walce ze współobywatelami byłoby największym nieszczęściem“.

Ber Borocho. Oblicze antysyjonizmu. Przełożył, wstępem i przypisami zaopatrzył dr. M. Sobel. Warszawa, Nakładem Akademickiej Organizacji Syjonistycznej - Socjalistycznej, 1938; str. 143 i 1 n.

Żaden nacjonalizm nie może budzić głębszego zrozumienia, niż żydowski. I to pomimo, że pojęcie narodu żydowskiego jest właściwie fikcją. Np. Żyd, pochodzący z rodziny od pokoleń osiadłej we Francji, stanowi część francuskiej grupy etnicznej, i więź, łącząca go z członkami gmin izraelskich na całym świecie, ma formalną naturę. Ale więź tę wzmacniają przede wszystkim wciąż powtarzane prześladowania żydostwa, a nawet sama ich tradycja. Francuz wyznania mojżeszowego, choćby niereligijny, choćby w środowisku francuskie najmocniej wrośnięty, nieznający wcale języka żydowskiego, a solidaryzujący się głęboko z przeznaczeniami narodu francuskiego, musi jednak reagować szczególnie żywo na pogromy swych współwyznawców, gdziekolwiekby one się odbywały.

Przed paru laty czytałem książkę zbiorową, p. t.: „Plomienie i zgliszca“. Jest to wybór nowel żydowskich, jedyny bodaj, jaki ukazał się w języku polskim. Poza „Brunatną księgą“, „Notatkami z martwego domu“ Dostojewskiego i książeczką Zdziechowskiego „O okrucieństwie“, nie znam lektury okropniejszej, bardziej ponurej i przygnębiającej nad ów zbiorek autorów żydowskich. Kto go przeczyta, ten zrozumie, na jakim gruncie wyrasta i zakorzenia się specyficzny krzew żydowskiego nacjonalizmu. Nacjonalizm, którego konsekwencją jest żarliwe pragnienie wyjścia z golusu i cała ideologia syjonistyczna.

Ber Borocho (1881—1917), to naczelny teoretyk „marxistowskiego“ uzasadnienia syjonizmu. Był on także bardzo aktywnym i wpływowym politykiem. W „Obliczu antysyjonizmu“ znajdujemy też pewne obserwacje całkiem trafne i pożyteczne, jak np. te, które dotyczą wypierania robotników żydowskich z wyższych faz produkcji przemysłowej. Ale znajdujemy również i zupełnie nie dopuszczalne tricki teoretyczne w rodzaju tego ze str. 111—112:

„Weźmy — powiada Borocho — socjalizm. Posiada on różne aspekty. Ekonomicznie znaczy to: socjalizacja, uspołecznienie środków produkcji. Politycznie: dyktatura mas pracujących. Posiada on jednak także moment uczuciowy. Chce on znieść panowanie egoizmu, skończyć z chaosem, z niepojętą anarchią ustroju kapitalistycznego.“

Te trzy momenty znajdujemy także w syjonizmie.

Ekonomicznie oznacza on: koncentrację żydowskich mas w Palestynie. Politycznie: uzyskanie terytorjalnej autonomii dla narodu żydowskiego w Palestynie. W przekładzie zaś na język uczucia: dążenie do własnej siedziby.“

Naturalnie, bardzo łatwo dostrzec w cytowanym urywku demagogię. Trzy momenty syjonizmu nie mają nic wspólnego z trzema momentami socjalizmu i „podmieniając je“, Borocho dokonau swoistego manewru z „kukuleczem jajem“. „Rzeczywista rzeczywistość“ dzisiejszej Palestyny, codzienne kryterjum praktyczne, wykazuje też dowodnie, że syjonizm i socjalizm nie dadzą się pogodzić. W pismach Borocho widać już pierwotny grzech koncepcji syjonistycznej: niedostrzeżenie tubylczej ludności arabskiej w Palestynie. U tego teoretyka Erec-Israelu, jak i u większości innych, Arabowie jakby nie istnieli, traktuje się ich z wielkopańską miną, na marginesie niejako pełnych rozmachu planów i zamierzeń. W „Obliczu antysyjonizmu“ znajdujemy zaledwie trzy zdania ze wzmianką o Arabach (str. 107, 115, 116). I w tem właśnie tkwi ukryty imperjalistyczny rdzeń syjonizmu.

Takie twierdzenie może się wprawdzie wydać komuś przesadą, ale woleliśmy nazwać wileze nasienie po imieniu. Co nie oznacza bynajmniej, aby tragedia Żydów palestyńskich, którzy stali się dziś tak wyraźnie przedmiotem rozgrywek między mocarstwami, była nam obojętna. Są oni nie tylko ofiarami błędnej idei, ale w większym jeszcze stopniu ofiarami aktualnego zaostrenia się przeciwieństw międzykapitalistycznych.

Dr. Menachem Buchwajc. Mandat Ligi Narodów nad Palestyną. Kraków, 1939; str. 170.

Lord Robert Cecil oświadczył przed laty:

„Uważam, że gdy historię wojny opisać się obiektywnie, żydowska siedziba narodowa i Liga Narodów uważane będą za największe zdarzenia.“

Stanowią one dwie wielkie idee, dla których walczyliśmy i w imię których zwyciężyliśmy: ideę narodową i ideę międzynarodową.“

Słów powyższych użył dr Buchwajc jako motto dla swej książki. Czyż nie brzmi one, jak krwawa zaprawdę ironja w świetle dzisiejszego stosunku Angli do zagadnienia palestyńskiego? Praca dr Buchwajca ma zresztą charakter prawniczy. Zapomocą juretycznej analizy odpowiednich tekstów (deklaracja Balfoura, art. 22 paktu Ligi

Narodów, mandat palestyński, „Biała Księga“ z r. 1922 i in.) usiłuje on wykazać, że zadaniem Wielkiej Brytanji jako mandatariusza jest doprowadzenie do powstania w Palestynie suwerennego państwa żydowskiego z większością żydowskiej ludności. Dopiero w takim państwie będzie można mówić o demokratycznych urządzeniach, tymczasem zaś demokratyzacja Palestyny jest wykluczona. Przewidywał to już inicjator systemu mandatowego gen. Smuts, b. premier Unji Południowo-Afrykańskiej, który już w r. 1918 pisał, że „załad wypadki, kiedy spowodu niejednolitego charakteru ludności, oraz spowodu jej niezdolności do współpracy w zarządzaniu krajem — autonomja we właściwym tego słowa znaczeniu będzie niemożliwa, a administrację w bardzo szerokiej mierze sprawować będzie musiał jakiś autorytet zewnętrzny. Wypadek podobny będzie miał miejsce — przynajmniej przez jakiś czas — w Palestynie, gdzie współpraca administracyjna mniejszości żydowskiej z większością arabską nie będzie mogła być zrealizowana.“

Dr. Buchwajc dodaje:

„Palestyna stanowi bowiem dzisiaj prawnie, wspólne dobro dwóch zbiorowisk. Jedno z nich — to faktyczni mieszkańcy kraju, drugie — to ów „narod żydowski“, o którym mowa jest w mandacie. Pierwszy partner stanowi ponad milion ludzi, drugi jest w każdym razie znacznie liczniejszy. Można sobie zupełnie śmiało wyobrazić podobną myśl państwową, która zorganizowałaby przedstawicielstwo palestyńskie na podstawie takiej proporcji...“

Stanowisko to jest zgodne z duchem i literą mandatu palestyńskiego. Przewiduje on rozwój samorządu w Palestynie, a nie autonomji (która jest pojęciem zupełnie odrębnym) — a jako jedyne ciało mające współdziałać z władzą mandatową w rozwoju kraju ustanawia Agencję Żydowską, reprezentującą nie tylko Żydów palestyńskich, ale i — przynajmniej formalnie — żydostwa diaspory.

Oddanie władzy ustawodawczej kraju obecnej ludności tubylczej, stworzenie parlamentu — to zasadnicza zmiana, to złożenie mandatu palestyńskiego, to jego koniec. Parlament palestyński, to zrzeczenie się obowiązków mandatu — to oddanie kraju nie tym dla których mandat miano sprawować, to złamanie deklaracji Balfoura, to przekreślenie nienaruszalności traktatów.“

Jasną jest rzeczą, że z syjonistycznego punktu widzenia ostatnia (trzecia skolei) „Biała Księga“ angielska stanowi „złamanie deklaracji Balfoura“. Zastanówmy się jednak przede wszystkim nad genezą tej deklaracji. Winston Churchill, który potrafił czasem zadziwiać świat szczerością swych wypowiedzi, pisał przed kilku laty:

— „Rok 1917 oznaczał bodaj najsmutniejszy okres wojny światowej. Był to czas, kiedy wielu wątpiło w zwycięstwo aliantów. Była to chwila, kiedy najczelniejsze jednostki w rządzie angielskim starały się pozyskać jakiegokolwiek wpływy, zdolne do podtrzymania aliantów i utrwalenia zjednoczonych państw w spełnieniu ich zadania. Na całym świecie wśród państw aljanckich Żydzi sympatyzowali z aliantami i pracowali dla powodzenia Wielkiej Brytanji i na rzecz ścisłej kooperacji Wielkiej Brytanji ze Stanami Zjednoczonymi. Z tych też względów nie należy uważać deklaracji Balfoura za przyrzeczenie dane z pobudek sentymentalnych. Było to praktyczne pociągnięcie w interesie wspólnej sprawy, w chwili kiedy ta sprawa nie mogła sobie pozwolić na zlekceważenie żadnego czynnika, oznaczającego poparcie już to materialne, już to moralne.“

Tak więc za pomoc żydowską podczas wielkiej wojny odwdzięczyła się Wielka Brytania obietnicą wybudowania „Jewish National Home“ w Palestynie. Czemuż teraz, w obliczu nadciągającej drugiej zawieruchy światowej, obietnicę tę „likwiduje“?

Czemuż ostatnia „Biała Księga“ przez pojęcie „siedziby narodowej“ rozumie nie suwerenne państwo bynajmniej, a jedynie



Dr. Lustra
Krem ULTRASOL

ośrodek kolonizacyjno-kulturalny? Czemuż w ciągu najbliższych lat pięciu ludność żydowska w Palestynie ma być doprowadzona najwyżej do 1/3 ogółu ludności, poczem o dalszych losach migracji żydowskiej decyzyja zapaść ma w porozumieniu z Arabami?

„Biała Księga“ jest manewrem, dokonanym dla pozyskania przychylności Arabów. I to nie owego miliona ludności arabskiej, który zamieszkuje Palestynę, lecz państw arabskich wokół niej leżących. Anglja pragnie odrobić dotychczasowe sukcesy osi Rzym—Berlin wśród Arabów. „Biała Księga“ stała się jedyną odpowiedzią na okupację Albanji przez Włochy, okupację, która wywołała takie oburzenie w świecie muzulmańskim. Anglja musi zyskać w Arabach sprzymierzeńców, musi osłonić przed możliwością ataków źródła naftowe w Iraku i rurociąg, wiodący do Hajfy, musi uspokoić zaplecze tak ważnych baz morskich, jak tażsama Haifa, jak porty syryjskie.

I oto jak wygląda węzeł gordyjski: Anglja musi prowadzić politykę antysyjonistyczną, a syjonisci nie mogą prowadzić polityki antyangielskiej. „W swojej rozpacz spowodu „Białej Księgi“ nie zapominajcie, że przeciwnicy Wielkiej Brytanji są największymi naszymi wrogami“ — mówi niedawno Einstein w radjo nowojorskim. Także nowy wielki rabin w swem pierwszym orędziu, jakie wydał do Żydów palestyńskich, przypomniał tradycyjne przywiązanie żydostwa do Wielkiej Brytanji.

Książka dr. Buchwajca jest narzędziem prawniczym w walce o państwo żydowskie w Palestynie. Erudycja autora, jego doskonała znajomość wszystkich odnośnych tekstów i dzieł, jego umiejtność tworzenia konstrukcyj juretycznych, muszą naturalnie, być ocenione nader dodatnio: książka ta wydana w pomyślniejszej dla syjonizmu konjunkturze, mogłaby nawet odegrać swą rolę. Ale dziś wydaje się tylko przeglądem dokumentów historycznych.

Dr. Arje Tartakower, docent Instytutu Nauk Judaistycznych w Warszawie. Zarys socjologii żydostwa. Lwów, „Cofim“, 1938; str. 240.

Nie jest to dzieło naukowe, lecz raczej popularny podręcznik ideologii syjonistycznej. Niektóre z danych, w nim zawartych, mogą zresztą zainteresować, zwłaszcza laika. Dr. Tartakower reprezentuje skrajnie zachowawczą część żydostwa i wcale się z tem nie kryje. Fakt ten nie upoważnia go jednak bynajmniej do podawania takich „twierdzeń“ naukowych, jak twierdzenie, że ultrakonserwatywna, klerykałna „Aguda“ liczy... pół miliona członków (str. 102). Zwążywszy bowiem, że terenem działalności „Agudy“ jest prawie wyłącznie Polska, licząca około 3,5 miliona Żydów, wypadaloby, że co siódmy Żyd polski jest agudowcem, czyli, że (obliczając przeciętną rodzinę na 5 osób), „Aguda“ obejmuje swemi wpływami około 70% społeczeństwa żydowskiego, żyjącego na ziemiach Rzeczypospolitej. Można powinnować panu docentowi: tak potężnej partji „narodowej“ nie posiada żaden naród na świecie. A już nie naszą rzeczą jest żałować,

GŁÓWNA WYGRANA II-giej KLASY
100.000 złotych
na nr 136.265

10.000 zł na nr 14957 10.000 zł na nr 65502 10.000 zł na nr 108955

padło na losy zakupione w niezmiennie szczęśliwej
KOLEKTURZE „NADZIEJA“
CENTRALA: Lwów, ul. Legionów 11.
ODDZIAŁY: Warszawa Marszałkowska 117 i Miodowa 7
»NADZIEJA« nigdy nie zawodzi!

że wszystkie dotychczasowe wybory polityczne w Polsce wykazywały zgoda inny stosunek wpływów poszczególnych partii żydowskich w Polsce, niż ten, jaki widzi w swej religijnej ekstazie dr. Tartakower. Być może, nie zauważył dr. Tartakower także wyników ostatnich wyborów samorządowych w Polsce, które wykazały, że wpływy agudowskie w Polsce znajdują się już wcale niedaleko punktu zerowego.

Na str. 48 twierdzi nasz autor, że w okresie przesilenia gospodarczych „największa liczba ofiar pada spośród drobnego i średniego handlu“ oraz, że „są to w pierwszym rzędzie ofiary żydowskie“. Na str. 62 zaś znajdujemy tezę, że „niemniej charakterystyczny jest odpyły Żydów do handlu we wszelkich okresach kataklizmów gospodarczych i politycznych, jako do tej przystani, gdzie chwilowo przynajmniej najlepiej można wytrwać“. Bez bliższych wyjaśnień twierdzenia te wygląda na sprzeczne. Fałszywe zgoda jest twierdzenie, głoszące, że punkt ciężkości polityki finansowej przesuwa się z banków do wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. Wiadomo powszechnie, że ogólna tendencja jest właśnie odwrotna.

Jako zwolennik izolacjonizmu żydostwa wśród narodów świata zwalcza dr. Tartakower objawy poszczególnych partrjotyzmów narodowych wśród społeczności izraelskich. Pisze: „Nie ulega wątpliwości, iż jednej z przyczyn rozszalałego antysemityzmu niemieckiego szukać należy w chorobliwym hyperpartrjotyzmie Żydów niemieckich, który musiał wywołać uczucie odrazy wśród samego społeczeństwa niemieckiego“. Śliczna cenzura usprawiedliwiająca dla Hitlera, nieprawdaż?

Ideologię dr. Tartakowera można nazwać kryptoghettową. Wszakże ghetto, to były nie tylko żółte łaty, ale i najpewniejsza obrona przed widmem asymilacji, które straszny nasz autor na każdej niemal stronie jego książki. W tym „Zarysie socjologicznego żydostwa“ omija się w miarę możliwości wszystko, co przypomina rolę ogólnoludzkich przeobrażeń społecznych w dziele „wyjarczmiarza się“ Żydów. Stwierdza się kilkakrotnie półgębkiem, że równouprawnienie Żydów datuje się od końca XVIII wieku, ale raz tylko (i to w nawiasie! — str. 134), wymienia się Wielką Rewolucję Francuską, jako sprawczynię tej przemiany. Konsekwentnie też (i beznadziejnie płytko) potraktował dr. Tartakower zjawisko antysemityzmu, eklektycznie mieszając istotne, niestosowne, a nawet zgoda fikcyjne jego przyczyny (str. 195 i inn.).

Tymczasem zaś właściwą kwestją jest dziś nie „kwestja żydowska“, a „kwestja antysemityzmu“, jako dywersyjnego środka walki faszystowskiej z demokracją. Jak bardzo ten środek jest niebezpieczny, mogliśmy się przekonać, obserwując niektóre wycieczki polskich publicystów... lewicowych. Dowiedzieliśmy się świeżo, że w umyśle, obecnym nawet w marksizmem, może powstać koncepcja „wyrównania potencjału pasywności między Żydami i innymi pasożytniczymi grupami społecznymi“. Ten szczytny ideał spotkał się też z odpowiednim zachwytem otwarcie faszystowskich antysemityzmu. Klasyki socjalizmu tyle razy wydrwili reformistyczne iluzje, zwłaszcza zaś małomieszczańskie marzenia o likwidacji poszczególnych potworności czy „przerostów“ kapitalizmu, że niema sensu powtarzać ich opinii w tym względzie. Tem bardziej, że walka z takimi „przerostami“, jak kartele np., posiada pewne tylko analogie z walką przeciw „uprzywilejowanemu“ stanowisku Żydów w kapitale handlowym, przerastającemu taki czy inny numerus clausus. Kontynuować bowiem teraz walkę o „odżydzenie“ handlu w Polsce, t. zn. poprostu rozpałać walkę narodowościową, podczas kiedy np. hasło dekoncentracji produkcji mogło odegrać rolę względnie niewinnej dywersji teoretycznej. A zresztą, cóż wogóle można pomyśleć o człowieku, który walczy o „sprawiedliwszy“ — z nacjonalistycznego punktu widzenia — podział pasywnych zysków? Można pomyśleć, jedynie, że dobrze zasługują się komu trzeba, że dobrze wyszukuje doktrynę socjalistyczną dla uderzenia w socjalizm. Kannibalom faszystowskim nie chodzi bowiem na dalszą metę o taki czy inny numerus clausus dla Żydów, ale o wywołanie gorączki antysemickiej wśród mas szczerze nienawidzących kapitalizmu. Jakiekolwiek hasło antysemickie jest zawsze szczepionką antysocjalistyczną, a „antysemityzm jest artykapitalizmem głupców“.

Zygmunt Jarosz

JERZY PUTRAMENT

CO PIĘCIORO POLAKÓW W AZJI ZOBACZYŁO?

Jeszcze i dziś są ludzie, których stać na wyjazd zagranicę, ba, nawet i tacy, którzy z takich wyjazdów żyją. Leży przede mną sterta książek, spłodzonych przez takich właśnie spryciarzy i szczęśliwów, którym się udało przedrzeć przez różnorakie mury graniczne i zobaczyć to wszystko, o czym my, zwykli śmiertelnicy, możemy tylko marzyć i czytać.

Podróże, które powołały do życia te książki, miały rozmaite przyczyny i cele. Aleksander Janta-Polczyński („Na kresach Azji“, Warszawa, „Rój“, 1939; str. 312 i 8 nl.) i Roman Fajans („W Chinach znowu wojna“, Warszawa, „Rój“, 1939; str. 363 i 9 nl.), to starzy wyjadacze reportaży, pierwszy z pewnym zacięciem amatorsko-globetrotterskim, drugi — raczej zawodowy dziennikarz; Marja Mikorska („Derwisze na asfalcie“, Warszawa, „Rój“, 1939; str. 305 i 3 nl.), nazywa siebie wprawdzie dziennikarką, ale tytuł ten wydaje się nieco przedczesny, a jej podróż nosi raczej charakter egzotycznej wycieczki nudzącej się paniusi; ppłk. Stanisław Karpiński opisuje dzieje swego nieudanego raidu lotniczego do Australji („Lot przerwany w Syjamie“, Warszawa, „Biblioteka Polska“, 1939; str. 229 i 1 nl.). Najbardziej tajemniczo wygląda wyprawa Jana Marjana Kreutz („Duch samurajów nad Azją“, Warszawa, „Biblioteka Polska“, 1939; str. 219 i 1 nl.), jej cele i charakter trzeba będzie wykrywać z analizy książki, która z niej powstała.

Także i teren tych wypraw jest rozległy i urozmaicony. Mikorska podróżuje po Persji, Karpiński leci przez Turcję, Persję, Indje do Syjamu, Janta-Polczyński zahacza o Afganistan, Indje, Indochiny, Mongolję, Formozę i Japonję, Fajans zwiedza Indochiny, Chiny i Mongolję, Kreutz przebywa w Japonji i Mandzurji.

Zacznijmy od terenu najbliższego. Książka Mikorskiej dosyć wyraźnie dzieli się na dwie partje. Pierwsza — to bezpośrednie wrażenia autorki, druga — to lektura dzieł o Iranie. Mimo wszystko, ta pierwsza partja jest ciekawsza. Chociaż jej przegdy do Persji nie wykraczają poza normy przeciętnego bytowania, chociaż wreszcie unika ona terenów bardziej egzotycznych (np. cała Persja wschodnia), ograniczając się do przebycia trasy bodaj najbardziej utartej (znad morza Kaspijskiego, przez Teheran, Ispahan do Szirazu), to jednak te zwykle, codzienne impresje składają się razem na pewną całość, która może dać czytelnikowi niejaki wyobrażenie o dzisiejszej Persji. Natomiast wiadomości ogólne, które tu i ówdzie zamieszcza, są dobrane bylejak i zdradzają pochodzenie bardzo plebejskie — z Baedekera, jeśli zaś z encyklopedji, to dosyć lichy.

Pewne rysy obyczajowe, które zauważyła autorka, spowodowały napaść na jej książkę recenzenta, specjalizującego się w wyszukiwaniu momentów drastycznych. W imię prawdy należy stwierdzić, że tych momentów jest niewiele i są one raczej niewinne, a czasem wcale zabawne.

Karpiński napisał coś w rodzaju dziennika swej nieudanej wyprawy. Być może, że dla lotnika ma ta książka niejaka wartość, laik jednak nie wydobędzie z niej wiele przyjemności, czy tembardziej korzyści. Poza epizodem z Syjamu, gdzie udało się autorowi uchwycić trochę barwy lokalnej, książka jest bezbarwna i nudna. Lepiejby autor uczynił, poprzestając na memorjałe, złożonym u władz lotniczych i na obszernym artykule w jakimś fachowym piśmie lotniczym. Uzupełnia książkę wyjątkowo niegustowna okładka.

Stary wyga podróżniczy, Janta-Polczyński, który już od kilku lat pelza sobie po całym globie, nabrał oczywiście wiele rutyny reporterskiej, ale stracił także rzecz bardzo cenna: intensywność przeżycia wizualnego czy intelektualnego. Może największym jego brakiem jest bezcelowość jego podróży i eklektyczność jego światopoglądu. Pod tym względem ostatnim ustępuje on znacznie takiemu np. Ksaweremu Pruszyńskiemu, który stykając się z zalewnym życia zagranicznego posiada jednak pewien ogólny sprawdzian, pewne kryterium doboru obiektów, godnych utrwalenia. Janta-Polczyński tego nie posiada, ponieważ zaś natłok wrażeń spowodował u niego ich dewaluację, książka jego nie jest ani podręcznikiem geografji, ani studjum dokumentarnem pewnych zagadnień. A osobowość autora zbyt jest przeciętna, by jego impresje podróżnicze mogły zainteresować kogoś jako kolekcja przeżyć i przemyśleń, jak to jest np. z impresjami z Indyj Huxleya.

Lepiej już jest z Fajanssem. Wiadomo od razu czego on szuka, w co wierzy i czego chce. I tu wprawdzie mamy do czynienia z wyprawą bez wyraźnego kręgosłupa, ale przynajmniej nie następuje wątpliwości postawa poznawcza autora. Z rozbrajającą naiwnością reprezentuje on kapitalizm rasy białej. Dwa polipy na ciele Chin, Hong-Kong i Szanghaj, to dla niego arcydzieła ducha ludzkiego i europejskiego rozmachu. Dostrzega on drapacze chmur, fabryki, kolosalny ruch okrętowy w portach, dostrzega także (choć bardzo zdawkowo), nędzę chińską, ale nie potrafi tych zjawisk

połączyć ze sobą w łańcuch przyczynowy. Poza zasięgiem jego oczu i myśli jest nie tylko wyższy kolonialny europejskiego przemysłu i handlu, ale nawet bezpośredni wyzysk białego pracodawcy w stosunku do portowego kulisa. Ba, potrafi on wypisywać słowa nabrzmiałe ciężkim oburzeniem właśnie pod adresem tegoż kulisa, który według niego krzywdzi biednych europejskich kapitalistów. Walka kulisów kantonjskich z przemocą Anglji (lata 1925—27), z Hong-Kongiem, dla niego jest czemś o burzającym, horrendalnym. Pod tym względem zresztą casus Faiansi można uogólnić.

Autorzy książek omawianych cierpią na szczególny zanik nerwu socjalnego. Ich impresje są tak jednostronne, jak ludzie, z którymi się stykają, którzy ich goszczą. Janta-Polczyński np. cykl swoich reportaży poświęca maharadzy Patiali.*) Dziełny podróżnik z rozczuleniem pisze o isticie staroinduskiej gościnności tego potentata, o miłości poddanych do swego władcy, o miłości władcy do poddanych. O tem ostatnim świadczy laboratorium roentgenologiczne w miejscowym szpitalu i rolnicza stacja doświadczalna. W szkołach zdolniejsi uczniowie mogą liczyć na pomoc maharadzy. Więzienie (według zapewnień doktorów niemieckich!) jest całkiem „na wysokości“. Tyle troski i opieki władcy, że aż dziwna się wydaje „nędza ludności“, która mimo wszystko uporzeczywie gnębi stan Patiala. Sto pięćdziesiąt prywatnych samochodów maharadzy i dziesiątki jego pałaców prywatnych i oficjalnych uzupełniają obraz tego miłego zakątka, gdzie nasz podróżnik spędził kilka rozkosznych dni. Także sielanka czekała go i u maharadzy Idaru: także polowania, przyjęcia i t. p., także troska władcy o poddanych i niewdzięczność tychże poddanych, którzy mimo wszystko głodują. O pograniczu indyjskiem dowiadujemy się od oficerów angielskiej straży granicznej. Znowu rozczulająca, kolonizacyjna kultura angielska: osiedle, które coś tam nabroiło, najpierw się uprzęda, a potem dopiero bombarduje nalotem lotniczym.

Jeśli Janta-Polczyński specjalizuje się w maharadzach, to Fajans ma zamiłowania raczej bankiersko-misjonarskie. Większość jego informatorów rekrutuje się z tych dwóch sfer, które zawsze tak pięknie się wzajemnie uzupełniały w praktyce kolonizatorskiej.

Bezkrytyczność, z jaką obaj reporterzy przyjmują informacje swoich rozmówców, jest doprawdy zastanawiająca i jeśli u Janty-Polczyńskiego można ją zaliczyć na rachunek jego poetyckiego dystansu w stosunku do rzeczy przyziemnych, to u Fajansa należy chyba przyjąć jakąś szczególną, zawodową aberrację wzrokową: dostrzega on tylko to, co jest dlań wygodne.

O dziwo, naiwniutka Mikorska bije pod tym względem swoich starszych rywali: rozmawiając z biurokratami perskimi potrafi ona jednak dostrzec to i owo przemilczenie, to i owo lgarstwo swoich wysoko postawionych informatorów.

Wszystko to jednak wyda nam się szczytem obiektywizmu w porównaniu z sądami, które wygłasza p. Kreutz. Z sądami — gdyż dopóki obraca się on w kręgu spostrzeżeń i informacji, wiadomości, których dostarcza są bardzo ciekawe i cenne, choć przedstawione dosyć chaotycznie.

Dowiadujemy się więc o ustroju rolnym Japonji: że jest podobny do polskiego, z tem że tam większość chłopów dzierżawi ziemię samurajów.

O stosunkach przemysłowych: że pomimo ogromnego wzrostu opartego na dumpingu przemysłu, co pewien czas wybucha tam bezrobocie obejmujące setki tysięcy i miljonów robotników. Że dumping umożliwia „niskie wymagania robotnicze“. Że są koszary dla robotników („bardzo czyste“) i że szkoły dla robotnic z bione są na wzór szkół dla prostytutek („gejsz“). Że związki robotnicze są zakazane czy „nieuznawane przez władzę“.

Ogólna sytuacja: że doniedawna jeszcze były cztery wielkie koncerty przemysłowo-finansowe, ale teraz już tylko dwa utrzymały się na najwyższym poziomie: Micui i Micubiszi. Że do tych dwóch domów należy prawie cały majątek narodowy Japonji.

O zwyczajach i obyczajach: że po dzień rolnik japoński za „skromną sumę“ sprzedaje swoje córki do domów publicznych. I te ekskrementy jedyne w swoim rodzaju ustroju najbardziej zacofanego feudalizmu, współzyczącego z najpotężniej rozwiniętym kapitalizmem finansowym, pływają w słodkiej, różanej wodzie zachwyty autora. Że „jedna rodzina“, której ojcem jest cesarz. Że „prastara kultura“ szczęśliwie pogodzona z „cywilizacją europejsko-amerykańską“. Że „duch samurajów“ prowadzi Azję!

*) Maharadza ten został odznaczony orderem „Polonia Restituta“. Autor niestety nie podaje powodu tego odznaczenia. Polityczne sympatje maharadzy są wprawdzie bardzo wyraźne, o czem świadczą portrety Hitlera (z dedykacją) i de la Rocque'a, wiszące w jego pałacu, ależ to chyba jeszcze nie jest racja wystarczająca.

Do tego dochodzą zwykle bzdury japońskiej propagandy, powtarzane z uniesieniem przez autora, np. o tych kilkusetu żołnierzach japońskich, którzy w Szanghaju obronili się przed paru dywizjami chińskimi (!).

Nie Polska, nie „polska biblioteka“ powinna wydawać takie elukubracje, tak jak nazwisko autora należałoby czytać nie „Kreutz“ a „Hackenkreutz“.

Pozostawia dużo do życzenia w książkach omawianych także i korekta faktów. Janta-Polczyński potrafił znaleźć się w pewnej chwili w odległości 150 klm. od Angkoru, 300 klm. od Syjamu i 200 klm. od Laosu. Jest to fenomen geograficzny, o czem przekona się każdy, kto spojrzy na mapę. Tenże autor przy okazji obarcza Marxa słynnym sloganem, że „religia to opjum dla ludu“, gdzieindziej zaś formuluje swoje wywody w ten sposób, jakby Stołypin żył jeszcze w r. 1916. Któryś z tych podróżników twierdzi, że wojna rosyjsko-japońska trwała od 1905—1906. Ppłk. Karpiński z prażeraniem spostrzega na ulicach Bangkoku — grzechotniki!

Te przeoczenia, łatwo spostrzegalne dla każdego, nakazują jednak ostrożność także i w stosunku do podawanych przez autorów faktów, których nie może sprawdzić europejski czytelnik.

KAZYS BORUTA

MARYNARZE ROZBITYCH OKRĘTÓW *)

To wy, marynarze rozbitych okrętów,
życia srogiego Kolumby posępne,
portom niesiecie miłość do wypraw
z fal szalejących odmętów.

Wy, nieznanący spokoju na ziemi,
wśród mórz i burz zabłąkani wygnańcy,
ujrzeliście prawdę oczami głodnymi:
że żyje ten, który — walczy.

Z WICHURĄ I UKOCHANĄ

Nie wiem, którą z was pierwszą pokochałem,
burzę, czy ciebie, ukochana.

Ale dla ciebie, burzo!
Ale dla ciebie, ukochana!
Idę, by żyć szaleńczym żarem
— ręce podaję ukochanej,
— wichurom dam sztandary.

Ze mną, wichuro, szalej,
przed nami dróg szerokie dale.
Śpiewaj, ukochana,
gdy w wichrach padnie ukochany.

O BRATERSTWIE

Niechby i nic nie pozostało
z darów młodości czerstwej, —
jak słońce w niebie w swem sercu schowam
Twoje braterstwo.

Jam jest przyjaciel szorstkiej ziemi,
ja pieśni przyjacielem,
lecz twe braterstwo zbudowałem
na wszystkich braterstw ciele.

Braterstwo nasze —
między młotem
i kowadłem —
swe prawa do życia
kładało.

Braterstwo nasze mocne
jest wolności mottem,
jak suchy wiatr północny —
jest twórcą życia potęg.

przełożyła W. G ó r s k a

*) Kazys Boruta jest jednym z czołowych przedstawicieli litewskiej poezji powojennej. Liryki i poematy tego wernego syna ludu litewskiego są sztandarami buntu i walki przeciwko krzywdom, ludowi wyznanym i siłom go jarzmiającym. Pieśńca znojnego życia i walki „artajów“ (oraczy), wichrów, burz, błyskawic i rozszalałych bałtyckich fal, podmywających zachodnie rubieże kraju, w swoim dorobku twórczym ma obok męstwem i niezwykłą siłą technicznych wierszy, utworów, zabarwione subtelny liryzmem, tak charakterystycznym dla smętnego krajobrazu płaczących brzoź i pochyłych, nadrzecznych wierzb, pokrywających jego ojczyznę. K. Boruta za swój radykalizm społeczny był wielokrotnie więziony i przesładowany i z tego powodu długie lata zmuszony był tułać się poza granicami swego, nad życie ukochanego kraju.

W r. 1938 wyszły w Kownie jego zebrane wiersze i poematy („Eils ir poemos“), gdzie zamieszczony został cały, przeszło dziesięcioletni, dorobek twórcy poety.

W. G.

E P O K A

NIEZALEŻNE CZASOPISMO SPOŁECZNE
POLITYCZNE I LITERACKIE

EPOKA broni zasad wolności i sprawiedliwości społecznej

EPOKA zawiera w każdym zeszytce obfity przegląd najważniejszych spraw naszych czasów

EPOKA zamieszcza artykuły wybitnych piór publicystycznych i literackich

EPOKA jest wszędzie do nabycia

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5

NARODZINY K M I E C I A

Gdybyśmy tak — na ślepo — powędrowali dłońmi po płaszczyźnie zachodnio-ukraińskiej produkcji literackiej za ostatnie lata, wśród jej równiny, (niziny, chwilami depresji), natknęlibyśmy się na wzniesienie trójgrzbietowe, o szerokiej, niezłe osadzonej podstawie, o stokach faldzistych, szeroko opadających, o płaskich, masywnych grzbietach, toczonych jak tłuste grzbiety koni kmieciowskich, sytych, zazdrośnie pielęgnowanych: na 3-tomową romans-kronikę Ułasa Samczuka, na „Wołyń“... Ułasa Samczuk — smakowite, mięsiste imię literackie, kmieciowskie imię...

By pozostać przy asocjacjach terenowych: wzniesienie to byłoby pokryte bujną roślinnością (nie tropikalnie bujna, lecz na sposób wołyński), mieszaną, dąbrowną, leśną, zieleń szerszą, o polankach zielonymi podbitą, o źródłach i bajorkach cienistych, o ścieżkach, biegnących za psim węchem płatnym, o gąszczach, bujających dziko-nie-dziko, — „jak Bóg da“...

Wzniesienie to ma, oczywiście, wysokość względną, dość nawet względną. Gdy się jednak zaszyc w jego gąszczu pierwotne, tak, że niebo przegłąda się w ich wierzchołkach drobnymi płatkami kwiecica, opadającego w listowie, można ulec złudzeniu, jako byśmy znajdowali się na wysokości absolutnej, na szczytach, które omal że zapanbrat spotykają się z innymi szczytami literatury ukraińskiej... Takiemu, zdaje się, złudzeniu uległ między innymi p. Ksawery Pruszyński, w swej przedmowie do tłumaczenia polskiego pierwszego tomu „Wołyń“, oko skądinąd wytrawne, lecz — zwykła rzeka — socjologicznie obciążone...

„Wołyń“ posiada dwie postaci osiowe: Dowbenkę - ojca, Matwija i Dowbenkę - syna, Wołodkę; dwa bieguny, na których się opiera i dookoła których krąży cała rzeczywistość powieściowa: materialna oraz formalna. W tym sensie — formalna, że bądź na jednym, bądź na drugim biegunie znajduje się punkt widzenia, przez który przesuwają się materialna rzeczywistość powieściowa; że od Wołodki do Matwija i naodwrot wędruje to, co należałoby nazwać „kształtującym okiem powieści“. Najczęściej znajduje się ono na biegunie Wołodki, postaci przestrzennie panującej wzdłuż całej kroniki; zatrzymuje się jednak przejściowo i przy innych postaciach: gderliwie kochającej Nasti, matki Wołodki, jego soplastego brata, Chwedota, który ma także swój świat, drobny, lecz krzepki, starszego jego brata, Wasyla... Czy w ten sposób powstaje owo ponadosobowe, kolektywne, „niczyje“ oko kształtujące szlachetnej epiki? Nie, oczywiście. Spotyka w naszej kronice miejsca, ocierające się o masywne międrze epiki, zdarzają się (zrzadka) obrazy o monumentalnie szerokim i spokojnym oddechu, niby idącym z głębi pokoleń. A jednak całość powieści płynie w tożsukim naiwnym empiryzmu „dnia dzisiejszego“, dojrza i dokonywa się w ruchliwym surowcu tego dnia. Spotykamy w niej zamierzony werżerżenia w doświadczenia zbiorowe dnia wczorajszego lub w narastający dzień jutrzejszy, zwłaszcza jutrzejszy. Lecz słabość i pustka artystyczna tych miejsc — puste i napuszone słowa — wskazują, jak płytko siedzą korzenie tych werżerżi; i że jedyną głębią, najwłaściwszą, z której wyrastają, jest naiwny surowiec „dnia dzisiejszego“, powierzchowny empiryzm tego dnia, sięgającego od nocy do nocy...

Surowy strumień owych dni, biegnący przed siebie — dziko-nie-dziko, ale „jak Bóg da“, oto zasada kompozycyjna, stosowana wzdłuż całej powieści „Wołyń“. Dlatego „kronika“, naiwnie pojęta kronika, wynikająca z naiwnego wyobrażenia Kronosu.

Gdy treścią owego strumienia będą łaskocące chwile dnia dziecięcego, słodkie doświadczenia życia, płynące w brzegach dwu nocy, co może być trafniejszego, jak zastosowanie owej zasady kompozycyjnej: owej fali, niesionej przez ślepy żywioł w aspekcie „dnia dzisiejszego“, niesionej „jak Bóg da“, z nocy w noc, z przebudzenia, pełnego słodkich trosk dziecięcych, przychodzących niewiadomo skąd, — w słodki sen pod ojcowskim kożuchem, sen, przychodzący — skąd? — niewiadomo, z nocy w noc...

Tak właśnie jest uchwycony i zbudowany pierwszy tom kroniki wołyńskiej, tom o życiu dziecięcym Wołodki, od pierwszej jego wędrowki zdobywczej wzdłuż brzegów rzeczki Lebedynki, po wyjście rodzinne (także zdobywcze, po ojcowsku zdobywcze) na nowe osiedle tyławieckie, po pierwsze Wołodkowe zwycięstwa na ławce szkolnej, pierwsze rozkoszne, rozkosznie tajone zdobycze w miłości ojcowskiej, spadającej w zdziwione oczy dziecka jak rzadkie krople światła rankowego, niespodziewanie słodkie...

Prawda: jest to również tom o krzemiennej drodze zdobywczej Matwija Dowbenki, ojca, tom o narodzinach i żelaznym narastaniu kmiecia, nieustępliwem, dla siebie i dla otoczenia niemiłosiernem, żyłastem, z korzenia i krzemienia wydobywanem narastaniu „mocnego gospodarza“ (od bezrolności do trzech, do siedmiu, do czternastu dziesięcin, rzadka wśród chłopów droga, ale cóż?) ...Lecz sama ta postać korzeniasta, biologicznie mocna, chwilami monumentalna w swej sile i w spokoju, jak i inne postaci i zdarzenia, jak cała mięsista rzeczywistość tego tomu omywane są ciągle i trwale przez

strumień życia dziecięcego Wołodki, przeżrysty i rwący potok życia, którego falowanie rytmiczne — z nocy w noc, z niebytu sennego w niebyt snu — stanowi o oddechu i ruchu tego tomu, o jego smakowitości i świeżości, o jego kształcie i typie ogólnym, o tem wszystkim, co dźwignęło go na czołowe pozycje prozy zachodnio-ukraińskiej ostatnich lat.

Ze wszystko to katastrofalnie spadło w ciągu tomu drugiego powieści („Wojna i rewolucja“), jaka tego przyczyna?

Zamierzenie autora było logiczne: nadal wytrwać w obranej metodzie kształtowania powieści, pozostać nadal w strumieniu wydarzeń, płynącym w aspekcie „dnia dzisiejszego“, dziko-nie-dziko, ale „jak Bóg da“, kronikalnie płynącym, naiwnie kronikalnie... Wynikało to z postulowanej ciągłości powieści, z nawykami autorskich, czytelnicych też. A jednak...

Było to słuszne: że strumień życia dziecięcego da się sprowadzić do surowca „dnia dzisiejszego“, do fali, płynącej w aspekcie tego dnia, — z nocy w noc, ze słodkiego wyjścia ze snu do powrotu w słodczy snu, — to było w pewnym sensie słuszne, dla celów kształtowania literackiego wystarczająco prawdziwe...



Ulas Samczuk

Natomiast, nic bardziej chybionego: że wielkie zdarzenia wojny i rewolucji dadzą się sprowadzić do surowca „dnia dzisiejszego“, do fali, płynącej w aspekcie tego dnia, z nocy w noc, „jak Bóg da“, nic bardziej fałszywego — faktycznie, nic bardziej chybionego, w sensie formowania literackiego...

Zamierzenie autora było logiczne, lecz od podstaw chybione.

Zdaje się, że z konieczności chybione. Wyrasta Wołodko na futorze, zdala od wsi, od masowej doli chłopskiej; jest od maleństwa, od swych podstaw kmieciakiem futorzańskim, takim wyrasta, takim na zawsze pozostaje. Przez brudnawe okienko futoru spostrzega olbrzymie wydarzenia wojny i rewolucji, nie olbrzymie, widzi tylko fragmenty wielkiej fali, uderzającej w szkła okna, chwytając garściami wiechcie brudnawej piany, przepływającej od ramy do ramy, (— „z nocy w noc, jak Bóg da“ —), garściami rzuca je na białe płachty papieru... Tak powstaje tom drugi kroniki, „Wojna i rewolucja“...

Gdyby ukazywał te okienne urwki wielkiej fali zdziwionym i przerażonym oczom chłopięcia, gdyby owo zdziwienie i przerażenie, owe wstrząsy duszy chłopięcej uczynił przedmiotem obrazowania literackiego, — w typie, w smaku, w jedności formy i materiału mógłby powstać utwór podobny do tomu pierwszego. Lecz nie.

W spełnionych zamierzeniach autorskich — Wołodko dojrza w tej części powieści: rozumowo, społecznie, narodowo; z okiennego widza rewolucji staje się (trochę za wcześnie i trochę komicznie) zachwyconym arbitrem w jej sprawach, współ z ojcem, z dziadkiem Juchimem staje się surowym, (— no tak —), nieomylnym, (— oby tak! —), po kmieciowsku nienawidzącym, (— to oczywiście —), sędzią rewolucji. To zaś obciąża, to mocno zobowiązuje. Bezskuteczne — w danym wypadku — zobowiązuje.

Gdyby w garściami tej piany, chwytanej przez otwór okna futorzańskiego, umiał odczytywać ruchy i kształty fali olbrzymiej, płynącej nie „z nocy w noc“ i „jak Bóg da“, lecz według praw własnych i własnej ciągłości; gdyby chwytął tę pianę jako oddech głębin wzbudzonych, wstrząsanych od dna, dałby nam może utwór dorastający do wydarzeń wojny i wielkiej rewolucji. Lecz nie — i jakże bardzo nie...

Jest to podstawa duszy kmieciakiem, synem „mocnego gospodarza“; chociaż fala rewolucji rzuca nim wzdłuż i wszerz ziemi wołyńskiej, podnosząc mu do oczu grozę i ogrom swych wydarzeń, nie ma zdolności (ani chęci) zobaczyć i uchwycić z niej coś więcej, niż garście piany brudnawej, bie-

nącej od ramy do ramy okiennej, „z nocy w noc“...

Wierzy naprawdę i widzowi podsuwa tę wiarę, że rewolucja socjalna — to owe garście piany brudnawej, bijące wściekle w kmieciowskie okna — nie pozatem. Gdy głębie rewolucji grożą zniszczeniem zdobywczy kmieciowski ojca, zniesieniem prawa i władania kmieciowskiego, czy może wierzyć — i widzieć — i chwycić inaczej?...

Zamierzenia autora są w tym tomie logiczne, określone, kmieciowsko określone. Lecz od podstaw i artystycznie chybione. Zdaje się, że z konieczności chybione.

Tom trzeci („Ojciec i syn“) jest miętoszeniem gliny przez młodą tłokę wiejską. Z przytupywaniem, przyśpiętywaniem, pijatyką, z ugniataciem ciała dziewczęcego, z bijatyką — do bujnej krwi, do rozlewu mózgu... Bujny, lecz nudny, banalny w swej bujności i — rzecz główna: niepotrzebny tom.

Dwie pierwsze części kroniki stanowią całość wyczerpującą, tematycznie i formalnie zamkniętą. Pierwsza prawi o narodzinach i narastaniu ekonomicznym kmiecia (kmieciaka też), druga o jego uświadomieniu klasowym — społecznym i politycznym. Gdy kmieć zakwita nienawiścią do „komuny“ (kmieciak też), czy nie jest to naturalny akord końcowy, ukwiecający, akord naturalnie wyśniony powieści o kmieciu współczesnym?

Jest także w tomie drugim podsumowany temat, którego nudnym miętoszeniem zajmuje się ostatni: temat o narodzinach i narastaniu kmieciaka literackiego, o jego misji społecznej w literaturze współczes-

nej, o jego drogach zdobywczych, na polu słowa.

Nie, zdaje się, prócz parcia materiału pamięciowego nie wyjaśnia powstania tomu trzeciego kroniki, prócz owej prężności wspomnień, która działa jako nieświadoma siła kształtująca wzdłuż całej powieści.

Tłumaczenie pierwszego tomu „Wołyń“ na język polski (dobre tłumaczenie Tadeusza Hollendra), jest uzbrojone w przedmowę Ks. Pruszyńskiego, z której cytujemy dwa mniemania:

„Książka ta ukazała się parę lat temu w przekładzie czeskim i słowackim; potem przysły przekłady: niemiecki i duński. Następnie przełożono ją w Kownie i w chorwackim Zagrzebiu; w przygotowaniu są przekłady na języki fiński i szwedzki...“ I: „Jeśli w twórczości Tarasa Szewczenki mamy najbardziej wstrząsający refleks pańszczyzny w całej literaturze europejskiej, to patrząc na twórczość Samczuka i jego współplemieńców można wyrazić przekonanie, że żadna wieś, żadna masa chłopska w Europie, nie będzie kiedyś posiadać tak wiernego dokumentarnie, a wartościowego literacko obrazu uśpienia i odradzania się, co wieś i masa chłopska na wschód od Sanu i Bugu. Sądzę, że w tem właśnie leży przyczyna europejskiego już sukcesu tej książki“.

Pierwsze z tych twierdzeń jest, zdaje się, uchybieniem z dziedziny faktów (fakty, to rzecz uparta, mniej lotna, niż pragnienia). Drugie twierdzenie, to hiperbola krytyczna, (mnie krytyczna), socjalnie, mam wrażenie, uwarunkowana, socjalnie „obciążona“. Również to: nie o masie chłopskiej mówi nam „Wołyń“, nie o wołyńskiej nawet masie. Ten Wołyń chłopski pozostał poza ramą kmieciowskiego okna „Wołyń“; płynie poza nią; według praw własnych i własnej ciągłości.

Stefan Tudor

„REFLEKSJE“ ŻUŁAWSKIEGO

Zygmunt Żuławski (n. t.). Refleksje. Warszawa, Wydawnictwo Komisji Centralnej Związków Zawodowych, 1939; str. 304.

Żuławski nie mówi, dlaczego zbiór swoich feljetonów (drukowanych m. in. w „Robotniku“) uważa za „refleksje“. Są to raczej komentarze dnia, komentarze spraw, wyłaniających się z bieżącej chwili lub oddawna już wyłonionych, lecz teraz podjętych na nowo. „Refleksje“ — to nawet nie zaduma nad aktualnością w stylu „z okna mego pokoju“, ale komentarze „chwil mijanych“, wszystko jedno, czy będą to „chwile“ polityczne, społeczne, czy ekonomiczne; autor nie przetrwawia wyloniętego problemu — raczej stwierdza, że jest, refleksyjność zaś jego wyraża się w kreśleniu na marginesie problemu zarzutów czy też aforystycznej krytyki.

Jest pewna zarozumiałość (do której przyznał się autor „Odwiedziny i spotkanie“) w zakwalifikowaniu naszych myśli, wysnuwanych doraźnie na potrzeby chwili, jako godnych dłuższego trwania, niż życie dziennika i jego przemijająca aktualność. Wydanie książkowe — to nic innego, jak ratowanie tych myśli od nieuchronnej śmierci (poza tem, co już zdziały w umysłach innych), to wyławianie ich ze strumienia przemijającej dzisiejszości, odmierzanej stemplem datownika. Ale poza zarozumiałością istnieją inne racje. Bo skądże wiemy, czy o książkach z epoki, której dzieje piszą foljały dzienników, nie powiedzą kiedyś tego, co powiedział Brzozowski o pamiętnikach de Reaux, Tallemanta de Reaux, Saint Simona i pani de Sevigné: że są potrzebne do zrozumienia kartezjanizmu?

„Refleksje“ Żuławskiego, to to wszystko, co można nazwać „codziennym duchem epoki“ — wraz z komentarzem i krytyką. Jest to filozofja na codzień, polityka na codzień, ekonomja na codzień; nie dlatego, by poruszane kwestje były już nazajutrz nieprawdą, lecz że wyrastają z problemu dnia, że asumpt do nich daje chwila bieżąca i wreszcie, że nie wyczerpują one problemu, ale go stawiają — i powróć do niego można jutro, pojutrze i przez wszystkie następne dni w roku. Żuławski nie jest tym proroczym, wspaniałym gromicielem współczesności, jakim był Brzozowski; nawarstwia on spokojnie argumenty, deliberuje, by pod koniec spłonać pointą moralitetu, jakąś admonicją, złośliwością czy „uspołecznionym“ aforyzmem.

Jeżeli chodzi o daty historyczne, w których ramach zamknięte są sprawy, omawiane w „Refleksjach“, to zaczynają się one od tej chwili, gdy przy ul. Matejki poczęto odmalowywać apartamenty, mające pomieścić „nową treść ideologiczną“ (a raczej starych ludzi o rzekomo nowej ideologii; bo istotnie: skąd tak dobrze znamy ten język i słownictwo ludzi, którzy mają usta pełne „zjednoczenia“? Oto: „Zjednoczone zakłady hutnicze“, „Zjednoczone fabryki przetworów mięsnych“, „Zjednoczone wytwórnie“... Jest to język ludzi, dobijających w kawiarni interesu „zjednoczeniowego“: nowy trust albo nowy kartel...), — a kończą się w okresie „spokoju wewnętrznego“, w okresie sloganów: „Idź i płac, bo cię stać“ i obwożenia na ścianach tramwajów hasła: „Jesteśmy silni, zwarci, gotowi“. W tych granicach czasu wyczerpuje Żuławski naszą bogatą, „wspaniałą współczesność“ — fakty i czynny, słowa i mowy, deklaracje i programy...

A poprzez to wszystko, jak refren, brzmią słowa autora: „Polska racja stanu — to równouprawnienie, tolerancja i wolność wszystkich obywateli Rzeczypospolitej“. Najbardziej niepokoi Żuławskiego głękość moralna i ordynarny utilitaryzm etyczny — to zamiłowanie do hołdowania frazesom „wykrętnie wieloznaczności wielkich słów“ i ta ciągła mistyfikacja dla pokrycia słowami odmiennej rzeczywistości.

Mimo wszystko żywi autor pewne złudzenia w stosunku do tych fetyszów demokracji, które są jej największym niebezpieczeństwem: do fetyszu większości („jedynym kryterjum dobra i szczęścia publicznego może być tylko wola większości“) — i nasuwa się myśl, tak całkiem niesformie i mimowoli, o socjalistach, których krytyka burżuazji wskazuje tylko, jak ma ona zwyciężać. Ale to odwrotna strona wszelkiej krytyki. Wskazując zło i głupotę naszych wrogów, wskazujemy im ich najsłabsze cechy, które muszą przewyciężyć. Ale czyż stąd wniosek, że mamy się wyrzec wszelkiej krytyki? Nie, tylko musi ona być bardziej ostra, bardziej bezwzględna i — prowadząca do czynu.

Jest rzeczą znamienną dla czasów dzisiejszych, że w książce socjalisty, jednego z przywódców socjalizmu polskiego — najmniej mówi się o socjalizmie.

Kazimierz Frankowski

W poprzednim (73) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 lipca: Halina Górka: Powrót z Rzeczypospolitej Przyszłości. — Paweł Hertz: Rue Daguerre. — Franciszek Parrecki: Miejsce dla sztuki! — Jan N. Miller: Kwestja żydowska. — Zofja Lissa: Listy Chopina. — O pokój i wolność. — Konstanty Anselm: Polemika z Marsjanką. — Jan Śpiewak: Uwspółczesniona Antygonia. — Leonard Hanin: Na grozę ziemską. — Jerzy Putrament: Wśród nowych powieści. — Paweł Hertz: Przyjaciołom Hiszpanom. — Alina Wołowska: Joseph Roth. — Współpracownicy „Sygnałów“ (Kazimierz Frankowski). — Leon Strakun: Z wystaw warszawskich. — Wśród czasopism. — Korespondencja. — Oblicze dnia. — 6 ilustracji. — 8 stron.

DOM BANKOWY
SCHÜTZ I CHAJES
Lwów, pl. Mariacki 6-7
WYKONUJE WSZELKIE
ZLECENIA WCHODZĄCE
W ZAKRES BANKOWOŚCI

ODPOWIEDŹ p. ŁASZOWSKIEMU *)

W związku z systematycznie prowadzonym i przybierającym na sile atakiem prasy żydowskiej na mnie, nagle i nieoczekiwana wyręka ze strony naszych rodzimych żydźców w postaci p. Alfreda Łaszowskiego, który w „Prosto z Mostu“ (nr. 22) zamieścił obszerny, informacyjny poniekąd, artykuł, p. t.: „Sprawa Jana Nepomucena Milera“.

P. Łaszowski, znany z kilku, nie zawsze dość chlubnych wystąpień (wymieśmy choćby skandaliczną i niepoczytalną napaść na „Sygnały“), tym razem, przynajmniej muszę, zachować się względnie po gentelmeńsku — i dlatego mimo zasadniczych zastrzeżeń, jakie budzi we mnie zarówno obrońca, jak i jego taktyka — winieniem mu również gentelmeńską odpowiedź.

Jestem wdzięczny p. Łaszowskiemu za przedstawienie naogół zgodne z prawdą przebiegu mego konfliktu z „Robotnikami“ (na tle wycofania się Związku Zawodowego Literatów Polskich z akademii ku czci A. Struga). Dyskretne przemilczanie tej kwestji, znanej tylko ściślejszemu Zarządowi Związku Literatów dało asumpt plotkarzom kawiarnianym do różnych insynuacji. Ujawnienie więc publicznie istoty tego zatargu jest nie małą i właśnie gentelmeńską usługą, jaką może okazać właśnie przeciwnik — przeciwnikowi.

Za dalsze jednak uprzyuczynianie moich skromnych dziejów na lewicy w związku z wpływami „Nalewek“ na „Warecką“ nie mogę już, niestety, wziąć żadnej odpowiedzialności. Są to już osobiste supozycje p. Łaszowskiego, odpowiadające, oczywiście jego głębokiemu, choć mało uzasadnionemu, przeświadczeniu o przemożnym wpływie Żydów na wszelkie poczynania lewicy.

Z fantastycznymi przeświadczeniami jednak trudno polemizować, przejdźmy więc nad nimi do porządku dziennego.

Biorąc mnie niejako w obronę przed atakami prasy żydowskiej, p. Łaszowski czyni to jednak niezupełnie bez karesu, gdyż stara się wmówić we mnie przy sposobności, że mój rewizjonizm socjalistyczny przy dobrych chęciach mógłby się zmieścić nawet w faszyzmie — i łaskawie daje mi patent nie tyle na przeciwnictwo, co „żywołowego faszyzmu“.

Co sądzę o tej nominacji, wyraziłem to już w stosownym „oświadczeniu“.

„Dobrych chęci“ pokumania się z faszyzmem nie zdradzałem nigdy, jedynym grzechem i obciążeniem dziedzicznym, do którego przynają się mogę, jest prawo do niezależnego myślenia, prawo i przywilej, który staram się sobie wywalczyć często wbrew wspólnotom myśli, do których się zresztą dobrowolnie wplątam.

„Żywołowy“ mój faszyzm jakoś w ujęciu p. Łaszowskiego nie bardzo jest konsekwentny, skoro mój obrońca twierdzi, że wobec P. P. S. stoję na stanowisku komunistycznym. Coś się to wszystko nie bardzo klei.

O utajoną sympatię do faszyzmu posiada mnie p. Łaszowski na tle rewizjonizmu socjalistycznego, za którym się opowiedziałem w „Na gruzach Grenady“.

W zasadzie wdzięczny jestem p. Łaszowskiemu za powołanie się na tę książkę, którą w swoim czasie zaszczylił zarówno endecja, sanacja, jak i komuna.

Do dzisiejszego dnia z dumą podpisałbym się pod wszystkie tezy przewodnie tej ukamienowanej i jakże niesłusznie zniesławionej książki. Mniejsza zresztą o jej dzieje. P. Łaszowski nazbyt dowolnie jednak wszelką postawę władczą i zdobywczą — utożsamia z faszyzmem.

Socjalizm też dąży do władzy i panowania, nie jest mu wcale obca myśl nawet o „dyktaturze proletariatu“, co wcale nie wygląda na zbyt humanitarne i liberalistyczne kiwanie palcem w bucie.

Każda żywa i twórcza grupa społeczna, zmierzająca do tego, by władzę swej myśli narzucić otoczeniu, zdradza instynktownie imperjalistyczną postawę — i niech się p. Łaszowskiemu nie zdaje, że „imperjalizm“ jest jakimś monopolem czy przywilejem Hitlera i Mussoliniego.

Hasło „Manifestu komunistycznego“ Marxa i Engelsa: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“ — jest bardziej imperjalistyczne (w najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu) w istocie swojej od czczej buffonady Hitlera, pracującego na Ukrainie i wyznaczającego Polakom „strefę osiedleń“ — za Uralem.

Proletariusze bowiem wszystkich krajów mają się łączyć, by zgodnie z interesem klasowym robotnika zdławić międzynarodową burżuazję i zapanować nad światem, jako samounicestwiająca się klasa przyszłych władców świata.

Obronna czysto i defetytyczna lub ściślejszemu haniebna i godna pogardy postawa socjalizmu i komunizmu niemieckiego w chwili dojścia do władzy Hitlera, kwietystyczna drzemka naszego socjalizmu w ciągu ostatnich lat kilkunastu — wszystko to uprawnia wrogów socjalizmu u nas do traktowania go jako niewinnej zabawki zromolanych starców, czerwonego gwoźdźdźka w kłapie staromodnego surduta w dniu 1-ym maja.

Wbrew uproszczonemu myśleniu p. Łaszowskiego nigdy nie „gwiżdżałem na Marxa, nie kpiłem z walki klas, ani nie pomiałem doktryną“. Jestem właśnie, jeśli chodzi o ścisłość, jednym z niewielu programowych obecnie „klasowców“ w naszym ruchu socjalistycznym; jako uniwersalista jednak, uznając olbrzymie, a często rozstrzygające

znaczenie walki klas, nie sądzę, by można ją było uważać za jedyny motor dziejów.

Dowolność w rozumowaniu p. Łaszowskiego polega na tem, że cytuję moje (z książki „Na gruzach Grenady“) zastrzeżenia marginesowe, pomijając zupełnie zasadnicze tezy społeczne, oparte całkowicie na marxizmie.

Mając bowiem wielkie zastrzeżenia przeciwko taktyce i polityce partji socjalistycznych zarówno u nas, jak i gdzie indziej, nigdy i nigdzie nie przeciwstawiłem się doktrynie socjalistycznej, o której sądzę, że na te teraźniejsze warunki wskazuje ona jedynie możliwe i pożądane środki rozwiązania panującego konfliktu społecznego i racjonalizowania chaosu gospodarki kapitalistycznej.

Nie widzę powodu, dla którego socjalista, jak djabeł święconej wody, ma się obawiać postawy „imperjalistycznej“, gdyż jeśli chodzi o ścisłość filologiczną, ten termin i znaczeniowo i historycznie starszy grubo od dzieła Lenina „Imperjalizm jako ostatni etap w rozwoju kapitalizmu“ — oznacza po prostu dążenie do „przyrostu mocy“ (jak to określał Fr. Nietzsche w „Woli mocy“), a klasa robotnicza, jednocząc się w walce z kapitalizmem w skali międzynarodowej, nie dąży do niczego wszak innego, jak do „przyrostu swej mocy“, by mogła być jedynym czynnikiem władzy, dyspozycji i mocy.

Pocóż więc przypisywać sobie cechy łzawo i żebracze, gdy się jest powołanym do władzy i panowania.

Nie oburzam się jednak na p. Łaszowskiego za niesłuszne zresztą lekceważenie socjalizmu, gdyż nie przeczę, że nie jest ono całkowicie nieuzasadnione.

W tych nader poręcznych dla reakcji społecznej pocieszycielskich uogólnieniach nie mieszczą się na szczęście ani komuniści rosyjscy, ani socjaldemokraci austrjaccy, walczący z Dolfusem, ani hiszpańscy republikanie. Taka jest też w istocie międzynarodowa armja rewolucyjnego proletariatu tam, gdzie nie jest obezwładniona przez biurokrację partyjną...

Niech się nie zdaje pp. Łaszowskiemu, że ta klasa robotnicza ma mniej „dynamizmu“ i „imperjalizmu“ od wszystkich oenerowsko-faszystowskich obrońców ginącego kapitalizmu. Tylko że jej „dynamizm“ czeka na swoją godzinę, przemawia tylko drżeniem ziemi i linją falistą tabelkę statystycznych, gdyż w żadnych oficjalnych wydawnictwach partyjnych nie sądzono mu wydać nie tylko głosu, ale nawet — szeptu.

Łatwo jest przegadać niemego olbrzyma, trudniej jest jednak z nim się zmierzyć.

P. Łaszowski stwierdza, że radykalizm społeczny nie jest bynajmniej przywilejem czy monopolem socjalizmu, że ruch narodowo-katolicki zdystansował już pod tym względem socjalizm...

Nie chciałbym użyć tu dość brzydkich, a jedynie właściwych słów, któreby odmalowały „radykalizm społeczny“ faszyzmu. Sądzę, że wobec przyzwoitego tomu artykułu mego oponenta, wystarczy mu wskazać, co stało się z hasłami radykalnymi w Niemczech hitlerowskich, gdy spełniły swoją rolę w ogtupieniu mas. Nieboszczyk Roehm i trzystu innych hitlerowców, którzy, jak się zdaje, chcieli serjo te hasła traktować, mają czas o swym błędzie rozpamiętywać na „tamnym“ świecie. Czy p. Łaszowski serjo się ludzi, że pod kierownictwem naszych klero-nacjonalistów mogłoby dojść do zasadniczych reform społecznych i przyznania pracownikowi prawa do pełnego wytworu jego pracy?

Zbyt ufam mimo wszystko inteligencji i spozrtegawczości mego przeciwnika, bym mógł go o to posadzać. Kto wie, czy z punktu widzenia tych sympatyj radykalnych mego oponenta, nie mógłbym, idąc jego śladem, ochrzcić go mianem „żywołowego socjalisty“? Złazszcza, że bardzo gorliwie się opowiada za koniecznością przeprowadzenia zasadniczych zmian ustrojowych.

Byłoby to jednak zbyt ryzykowne nadużyć słowa.

Stwierdzić bowiem trzeba, że poza socjalizmem niema żadnego przemyślanego i racjonalnego systemu przebudowy ustroju społecznego.

Wszystkie ujęcia o radykalizmie społecznym faszyzmu w najlepszym razie kończą się na tem, że jest się mimowiednem narzędziem ruchu z dialektyczną koniecznością wywiązującego się ze swego zadania obroną ginącego kapitalizmu przy pomocy „dynamicznego“ gwałtu i przemocy.

I p. Łaszowski, przytłoczony imaginacyjnie wyolbrzymioną zmurą żydowską, tę rolę bezwiednie spełnia.

Chciałbym zapewnić p. Łaszowskiemu, że walka z przerostem wpływów i przywilejami ekonomicznymi pewnych grup społeczeństwa żydowskiego jest możliwa również na gruncie prawdziwego radykalizmu społecznego — i niema tak rozpaczliwego powodu, by w faszyzmie szukać lekarstwa na choroby ustrojowe społeczności polskiej. Jest to lekarstwo jak narkotyk, zmieczulające na chwilę, lecz nie leczące choroby.

Na zakończenie muszę zaznaczyć, że p. Łaszowski z wnikliwością krytyczną stwierdza, że jest mi obce czysto abstrakcyjne szacowanie człowieka, że rozpatruję jednostkę funkcjonalnie w ścisłym związku z aktem twórczym. Tezy te jednak mieszczą się całkowicie w programie przebudowy socjalistycznej, opartej na otaksowaniu człowieka za pracę i społecznie pożyteczny wysiłek, nie za — kolor oczu, tytuły czy dziedziczny przywilej.

Rodowód mojej lewicowości — wskazany przez p. Łaszowskiego — że człowiek z mego pokolenia o silnie rozwiniętych instynktach społecznych musiał się pokumać z socjalizmem — nie jest, zapewne, niesłuszny.

Drugi jednak wywód, dotyczący wpadnięcia przeze mnie w sidła jakiejś konspiracji masońskiej, jest, oczywiście, już z typu bajeczek o „Czerwonym Kapturku“, któremi się straszy niegrzeczne dzieci o zmierzchu. Na to nic, niestety, nie mogę odpowiedzieć... w obawie przed — ukamienowaniem przez mściwych i wszędobylskich — jak Żydzi — masonów...

Za rysopis fizyczny — i przyznanie mi przez p. Łaszowskiego indygenatu „rasowości“ moi chamscy, a nieuświadomieni klasowo przodkowie możeby byli memu „obroncy“ wdzięczni, — co do mnie, ceniącego tylko wysiłek twórczej myśli i napiętych ramion, pod jakiegokolwiek koloru skórą czy barwą oczu on się odbywa, — wolałbym mieć czaszkę orangutanga w stylu Sokratesa, ba — chętniebym zapaścił nawet brodę Marxa — gdyby to była droga, zmierzająca do dorównania ich genialności...

Spiritus — niestety — flat ubi vult.

Jan N. Miller

*) Por. „Odpowiedź Wiktorowi Alterowi“ w nr. 72 i „Kwestja żydowska“ w nr. 73 „Sygnałów“.

Wśród nowych powieści

Irena Krzywicka. **Ucieczka z ciemności.** Warszawa, „Rój“, 1939; str. 296 i 8 nl. — Czesław Straszewicz. **Litość.** Warszawa, J. Mortkowicz, 1939; str. 274 i 2 nl. — Zofja Kossak. **Warna.** Warszawa, „Biblioteka Polska“, 1939; str. 137 i 1 nl.

Ogół czytelniczy orjentuje się dobrze w obliczu pisarskim Ireny Krzywickiej, toteż jej książka ostatnia będzie dlań niespodzianką. Zamiast odważnej, ale i monotonnej analizy kompleksów erotycznych Krzywicka przeszła obecnie do zagadnień odmiennych i chociaż tworzywo fabularne ostatniego jej utworu w dalszym ciągu składa się z wątków niemal bez wyjątku miłosnych, to jednak ujmując je w formy literackie kładzie autorka akcenty na momencie, jak mówi, „przemocy jednego człowieka nad innymi“. Jak przekona się czytelnik, formy tej „przemocy“, które zainteresowały Krzywicką nie należą do typowych, są to raczej rozmaite ciekawostki i fenomeniki.

Forma utworu nie jest wprawdzie rewelacyjna, ale nie jest także pospolita. Jest to montaż szeregu „nowel“ (traktowanych tak skrótowo, że należałoby je nazwać raczej kontaktami powieści) połączonych fabułą ramową, opisującą pożycie brzydkiej gąski prowincjonalnej z pięknym i mądrym, ale ślepym literatem. Pożycie to przedstawione zostało z dużym zacięciem psychologicznym, ratującym ten motyw przed degradacją do poziomu kliwnej a miernej powieści angielskiej („Jane“), gdzie też mieliśmy do czynienia z podobnym splotem fabularnym.

Ślepy literat dyktuje swej brzydkiej przyjaciółce nowele. Nowością w tym wypadku jest to, że nowele te przytoczone są in extenso. Zazwyczaj literaci występujący w powieściach conajwyżej rozprawiają o swoich dziełach, ale ich nie tworzą. Wprowadza to do utworu nową płaszczyznę tematyczną: psychologia i technika twórczości. Jest ona zresztą traktowana dosyć nawiasowo.

Temat, interesujący literata — to przemoc. Opisuje więc on wypadki, gdy stary mąż usiłuje utrzymać przy sobie młodą żonę, wyolbrzymiając swoją chorobę, gdy uboga i brzydka kaleka prześladowa swoją miłością eleganckiego majora, doprowadzając go do ruiny kariery wojskowej, gdy „szary człowiek“, sekretarz gimnazjum, stopniowo je opanowuje, rugując wybitniejszych profesorów i otaczając się nicościami i t. d. W tym ostatnim wypadku Krzywicka nadała utworowi pewne wymiary społeczne, gdzieindziej pilnie i celowo unika jakiegokolwiek wykreślenia poza ramy psychologii jednostek. Lęk ten przed szerszym oddechem twórczym jest nader charakterystyczny, jak i wyznania bohatera o utracie wiary w postęp świata, w przydatność społecznej pewnego typu ludzkiego, do którego się zalicza: intelektualistów. Pomijając wypadki karierowiczów, którzy w ten sposób usprawiedliwiają przed sobą i dawnymi przyjaciółmi ideowymi swoją re-negację, nastroje podobne charakteryzują tych, którzy trafnie odczuwają pogardę dla t. zw. kultury ze strony decydujących dzisiaj czynników, albo nie potrafią czy nie chcą zrozumieć przyczyn tego, albo nie czują się na siłach walczyć o zmianę dzisiejszego stanu rzeczy. Bohater Krzywickiej zbyt pochopnie uogólnia i podnosi do wysokości reguły światowej niemiłe doświadczenia ze swego wąskiego podwórka.

Zaletą książki jest jej czytelność. Krzywicka zdobyła się w niej na tempo, żywość i rozmach; „Ucieczka z ciemności“ daleka jest od pospolitego u „młodych“ prozaików nudziarstwa.

Czesław Straszewicz już drugą swoją książkę poświęca motywom niemieckim. Zasadniczo biorąc, należy mu się za to pochwała, niestety jednak, nie chce on głębiej analizować wszystkich aspektów dzi-

»DZIENNIK

POWSZECHNY«

to głos setek tysięcy pracowników umysłowych

Dziennik Powszechny

to organ niezależny,

bezpartyjny,

demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Warszawa, Al. Jerozolimskie 35 m.13

siejszej germańskości, przedstawiając zaś konflikt „przeciętnego Niemca“, profesora Knappego z lokalnym „gauleiterem“ Richterem postępuje, jakby ten drugi rzeczywiście reprezentował pełną germańskości, Knappe zaś był niemal wyrodkiem.

W powieści występują trzy walczące ze sobą siły: narodowy „socjalizm“, kościół katolicki i hiszpański anarchizm. Zaletą powieści jest jej obiektywizm. Książka Straszewicza nie należy do literatury czysto tendencyjnej, opisując konflikty między temi siłami, autor nie lubuje się w przyciemnianiu kierunków dla siebie antypatycznych, a katolicyzm, z którym sympatyzuje, przedstawia z wcale daleko posuniętą bezstronnością.

Tem bardziej niemiłe wrażenie na czytelniku wywierają pewne przejawskrawienia i fałszy, których się przecież autor dopuszcza. Obraz „czarnej mszy“ anarchistów jest nonsensem. Opisując wybuch powstania w Barcelonie, autor przedstawia je jako wybuch niezadowolonia mas ludowych, krwawo tłumionych przez wojsko, podczas, gdy każdy wie, że naprawdę było wprost przeciwnie: że w Barcelonie, jak w całej Hiszpanji wybuchł rokosz wojskowy i że właśnie lud gołemi rękami musiał zdobywać karabiny maszynowe generała Gode-da. Fałsz ten niepotrzebnie umniejsza zakres i skalę oddziaływania tej skądinąd wcale ucziwej powieści.

Najważniejszym jej brakiem artystycznym jest sprawa aspektu. Zapewne lepiejby całość wypadła, gdyby autor zamiast aspektu Knappego zastosował formę wielo-aspektowej powieści „obiektywnej“ — kolizja trzech wrogich sił wypadłaby wtedy bardziej dramatycznie, z drugiej zaś strony udałoby się uniknąć powtarzania się i pływania w rysunku bohatera, którego oblicze duchowe zbyt przeciętne jest, by usprawiedliwić aż tak obszerną jego analizę, jak to jest w „Litości“.

Najlepsze sceny powieści przypadają na odcinek niemiecki. Takt i dosadność w przedstawianiu zwłaszcza stosunków między Knappe a Richterem decydują o zaliczeniu tych scen do najlepszych na tematy bytu hitlerowskiego w dotychczasowej polskiej powieści. Niestety, jest to tylko rama powieści, jej trzon, dziejący się w Hiszpanji cechuje chaotyczność.

Nazywają Zofję Kossak „Sienkiewiczem w spodnicy“. Ta żartobliwa definicja nie należy do trafnych: Kossak to raczej Kraszewski w spodnicy. Sienkiewicz w historii pasjonowały raczej analogie ze współczesnością, dla Kossak historia jest celem samym w sobie. Jak stwierdza autorka w zakończeniu „Wary“ istotne dla niej w tym utworze było obalenie legendy o śmierci Warneńczyka, jako karze za złamanie ugody pokojowej z Turkami. Sam fakt umieszczenia tego posłownia świadczy, że autorka odczuwa niedostateczność powieściowej argumentacji swojej tezy. Istotnie, powieściowy opis momentu kulminacyjnego wygląda na naciąganie, a zjawienie się nuncjusza Cesarzowego na sekundę przed podpisaniem umowy przypomina niezliczone „cudowne ocalenia“ w amerykańskich filmach.

Powieść napisana jest gładko, ale i zdawkowo. Zbyt jest ona ograniczona tematycznie, by mogła wywołać wizję ówczesnego bytu (znowuż analogie z Kraszewskim), toteż trudno ją traktować inaczej niż jako pomoc szkolną przy nauce historii, ale i w tym wypadku brzdąci niedostateczna argumentacja jej tezy zasadniczej.

Jerzy Putrament

*

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw nadesłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.

O materializmie historycznym

Z szeregu najczęściej poruszanych zagadnień w związku z teorią materialistycznego pojmowania dziejów, kilka ma znaczenie zasadnicze:

1) Ustalenie logicznego charakteru materializmu historycznego, rozstrzygnięcie czy jest ono tylko pozytywną teorią naukową, niezależną od filozoficznego poglądu na świat, czy też, przeciwnie, integralnym przedłużeniem i dopełnieniem filozofii marksowskiej, wyznacza linię podziału między takimi pisarzami jak: Antonio Labriola, Kazimierz Krauz, Max Adler z jednej strony, a Plechanow, Lenin, Deborin, Bucharin z drugiej. Powstaje kwestja, która z tych dwóch interpretacji jest właściwsza, która dokładniej oddaje istotę marksowskiego poglądu. Zdecydowanie należy się przeciwstawić klasyfikowaniu marksizmu, materializmu historycznego zaś szczególnie, jako zamkniętej i ściśle ograniczonej teorii społeczno-politycznej czy ekonomicznej. Materializm historyczny dając klucz i metodę do ogarnięcia całego dotychczasowego rozwoju ludzkości, do „badania dziejów w ich całej wielostronności i sprzeczności, jako procesu jednolitego“ siłą rzeczy nie może być ograniczony w swym zasięgu do żadnej zamkniętej dziedziny.

Jako część całkowitego marksowskiego światopoglądu jest materializm historyczny związany nierozłącznie z materializmem dialektycznym. O ile ontologia marksowska uznaje materję za zasadę wszechbytu, o ile materializm dialektyczny widzi w materji matkę ducha, o tyle tezy te konsekwentnie uwzględnione przy badaniu zjawisk społecznych nakazują nam całą „nadbudowę ideologiczną“ rozpatrywać jako wielkość zmienną, zależną ostatecznie od stopnia rozwoju materialnych sił wytwórczych. Na tej nierozdzielnej zależności opiera się teoria materializmu historycznego, będącego ekonomiczną i historyczną stroną światopoglądu materialistycznego. Materializm historyczny oderwany od filozofii marksowskiej — to jakby dom zbudowany bez fundamentu.

2) Wyjaśnienie stosunku materializmu historycznego do zagadnień ekonomicznych jest kwestją tem bardziej ważną, że wszyscy przeciwnicy, a często i wulgaryzatorzy, w ten punkt zawsze uderzają chcąc zbić teorię Marxa i Engelsa.

Nazwałbym to „kompleksem ekonomicznym“. Mieszając w najbardziej wulgarny sposób pojęcia materializmu filozoficznego, albo przyrodniczego i etycznego zmaterializowania, różni „uczeni“ starają się udowodnić, że marksista nie przywiązuje żadnej, bądź znikomą wagę do zagadnień ideologicznych, że sfera jego badań i zainteresowań to tylko nagi interes, to tylko ekonomja (hedonizm gospodarczy). Klasycznym wyrazicielem tego poglądu jest „Polskie Radio“, które w pewnym słuchowisku przedstawiło Marxa, jako człowieka umiającego mówić tylko o ekonomji. Rzecz przejawskrawiono do tego stopnia, że kiedy rozmowa schodziła na tory ogólniejsze, filozoficzne Marx automatycznie milknął.

Engels w liście do przyjaciela pisał, że i on i Marx ponoszą pewną winę za to, iż młodzi ich uczniowie przejawskrawiają znaczenie stosunków ekonomicznych. Działo się tak dlatego, że tej części swego poglądu na świat wielcy myśliciele musieli poświęcić główną uwagę ze względów polemicznych. Nauki ekonomiczne Marxa i jego materialistyczna ontologia były najczęściej atakowanymi stronami naukowego socjalizmu. Jak się rzecz ma w istocie?

Przyjmując pojęcia „podstawy ekonomicznej“ i „nadbudowy ideologicznej“, uznajemy tylko pierwotność, podstawowość stosunków wytwórczych, ale nie negujemy bynajmniej, ani nie redukujemy znaczenia ideologii, jako czynnika twórczego, który jeśli raz już zaistnieje, może efektywnie wpływać na podstawę, na której się zrodził. Czynniki „nadbudowy“, których powstanie t ł u m a c z y m y, wskazując przedewszystkiem konkretne warunki, w jakich się zrodziły, mogą zmieniać, przez działanie hamujące lub przyspieszające, całokształt stosunków gospodarczych. Tak np. nawskroś religijna, konserwatywna i reakcyjna ideologia średniowiecznego feudalizmu była czynnikiem, który wstrzymywał wszelką wynalazczość, wszelkie ulepszenia systemu produkcji. Natomiast materializm rewolucyjnego mieszczaństwa francuskiego XVIII w. był światopoglądem burzącym całą średniowieczno-feudalną scholastykę, dzięki czemu stworzył warunki dalszego rozwoju sił wytwórczych. W tem też leżała jego postępową rolę.

Jeśli marksści mówią o zależności „nadbudowy“ od „podstawy“, to mają na myśli zależność ściśle funkcjonalną, nie zaś jakąkolwiek hierarchizację znaczenia poszczególnych czynników. Uznajemy oddziaływanie wtórne, wzajemne oddziaływanie składników „podstawy“ i „nadbudowy“. To co było skutkiem staje się przyczyną. Nie możemy kategorycznie przypisywać większego znaczenia jakimkolwiek czynnikowi w procesie rozwojowym. Bo czyż nie śmieszne wydaje się twierdzenie, że produkcja jest „ważniejsza“ od szkolenia inżynierów np.? Albo, że „ważniejszy“ jest aparat produkcyjny od aparatu administracyjnego? Istotą rzeczy jest tylko różny charakter funkcji rozpatrywanych elementów.

Wy tłumaczenie zjawisk „nadbudowy“ przez wykazanie gleby, na jakiej się zrodzi-

ły i w której korzeniami tkwią, ale nie bynajmniej pogardliwe pomijanie tego, co nie jest ekonomją — oto właściwa interpretacja teorii materializmu historycznego.

3) Złe zrozumienie roli, jaką materializm historyczny przypisuje jednostce w tworzeniu dziejów, staje się często punktem wyjścia nieuzasadnionych ataków. Przeciwnicy, powołując się na kanony mechanistycznego materializmu francuskiego XVIII stulecia, twierdzą, że marksści tworzą z ludzi bezwolne pionki mechanizmu rozwoju dziejowego.

Nawet wśród socjalistów t. zw. „ortodoksyjni marksści“ z marksowskiego determinizmu wyciągają zgoła fatalistyczne wnioski i tworzą teorię o bezcelowości oddziaływania ludzi na rozwój społeczny. Tak np. wypowiadają się przeciwko robieniu rewolucji, która według nich sama się dokona (bo, jak się im chyba wydaje, zapisał ją Marx w księdze przeznaczenia). Na tego rodzaju interpretację odpowiada Max Adler („Droga do socjalizmu“): „Wprawdzie rozwój ekonomiczny stwarza obiektywne warunki powstania socjalizmu, ale cel ten można przyspieszyć i osiągnąć tylko na drodze rewolucji proletariackiej“, a więc na drodze ludzkiego działania.

POWIEŚĆ ANGIELSKA

W. Somerset Maugham. Teatr. Przekład Krystyny Szerer. Warszawa, „Rój“, 1939; str. 288 i 4 nl.

Somerset-Maughama opinja literacka ustaliła podobnie jak Conrada pisarzem móż południowych. Egzotyka obu tych rywalizujących ze sobą w swoim czasie autorów polega na poddawaniu charakterów Anglików-Europejczyków tropikalnemu ciśnieniu klimatu, z tem, że Conrad tworząc herosów, prawie odrywał się od lokalnego tła, Maugham zaś z większą sumiennością realisty cyzelował swoich ludzi na miarę „krawca“. (Choć i tu są wyjątki, np. bohater „Malowanej zasłony“). Nierówna w swoim czasie rywalizacja skończyła się. Conrad umarł, a Maugham posunął się w hierarchji i jest obecnie jednym z czołowych pisarzy Anglii.

Temat „Teatru“ nie jest wcale egzotyczny; to prawdziwy teatr angielski, a właściwie jego sławna i starzejąca się już aktorka, czterdziestoseściolatnia Julia Lambert, pretendująca do sztuki Sary Bernhard i Sary Siddons. Widowiskiem jest tutaj nie realistyczne pojęcie życia aktorów, lecz walka w samej Julii jej wędrującej, choć jeszcze uroczą kobiecość ze sztuką gry, sztuką maski, sztuką słowa. Julia, która w młodości zakochała się i poślubiła jednego z najpiękniejszych, najprawdopodobniejszych i najbanalniejszych mężczyzn, aktora Gosse-lyna, — przeszła przez życie jakby nieobudzona. Kiedy przysłał czar tej samicy miłości, Julia pozostała już tylko aktorką, zdawało się, że nie ma temperamentu poza sceną. Dopiero w późnym stosunkowo wieku

JAN ŚPIEWAK

SONATA WOJENNA

Może jutro, może jutro znowu
będą drzewa po ulicach iść.
I uderzy w szyby podkowi
wielooki i obzarty liść.

Może jutro, może jutro zielen
spłynie znowu do gniazd rzek
i popłochem kamiennym wyścieli
oczy ulic nieprzerwany śnieg.

Nie.

Nie!

Niebo dłonie na dół, liny lodyg zerwą,
wygną tęczę w łuk. Ciepłych kropel czerwien
spłynie w tętnie wielostrunny chór.

Może skrzypce, może drumla powie,
może mgła ominie naszych westchnień brzeg?
Czemu słów Twych stado spada na sitowie,
czemu skrzydła płuczą Twych uśmiechów dno?

Oto cień koławy dłuży się i szemrze,
murów głuchy werbel głuszy kroków ślad.

Na łańcuchu z marzeń skuty, wiem że
nóż mej ziemi na me oczy padł.

I różowi żyto nocą kroków sto
między cieniem wojny a poszumem wody.

I różowi żyto nocą kroków sto
między szumem wiatru a pluśnięciem kuli.

Róście palce jak trzesieńka wyżej,
na szerokim czarnoziemnym kraju.

Lećcie usta w gaje chmur jak wyżeł
tam gdzie słowa dojrzewają głodem.

Kto powstrzyma strumień ulic,
gałęziami fale kto umai?

Kipi ogień w głazach, w piasku słońce głębiej
budzi księżyc ślepy, pawiooki pajak.

I marmury sfruną nagle jak czarne gołębie.
i uderzy baterja skrzypiec nagle umierając.

Nie.

Nie!

Białe dłonie płaczą. — Ziemio, ziemio ratuj.
Ptak zdmuchnąwszy wiatr, chłodzi drogę krwawą,
rzeka brzegów bliżej rośnie mchem i latem,
— sława ludziom bez twarzy i cieniem ciał sława.
Woly włóczą się gdzie gwiazdy liście rdzą różowią
i świt chór pochylony nad sobą wmurowuje w spowiedź.

Jakkolwiek ludzie sami są wytworami przyrody, jednakże „na jednym punkcie historii rozwoju społecznego różni się zasadniczo od historii rozwoju przyrody. W przyrodzie działają — jeśli abstrahujemy od oddziaływania ludzi na przyrodę — same ślepe, nieświadome czynniki, wzajemnie oddziaływające na siebie, w ich zaś oddziaływaniu wzajemnym ujawnia się prawo powszechne... W przeciwieństwie do tego w historii społeczeństwa działają tylko ludzie, obdarzeni świadomością, kierując się rozumem lub namiętnością i dążąc do określonych celów... Lecz różnica ta, jakkolwiek ważna dla historycznego badania, nie może w niczem zmienić faktu, że bieg historii kierowany jest ogólnymi prawami wewnętrznymi“.

Nie negujemy znaczenia działalności ludzkiej, podobnie jak nie negujemy oddziaływania „nadbudowy“ na „podstawę ekonomiczną“. „Ludzie sami są twórcami swej historii, jakkolwiek bywa jej wynik“. Stawiając zagadnienie w ten sposób uznajemy jednakże, że działanie poszczególnych jednostek, klas społecznych i całych społeczeństw jest zdeterminowane przez pewne obiektywne warunki i prawa. Zadaniem materializmu historycznego jest wytłumaczenie, w jaki sposób warunki te mogą być zmienione przez „ludzi, którzy wszak sami są wytworami warunków“.

Marlen



jedyny preparat, który stosowany w porę, powstrzymuje wypadanie włosów

Oblicze dnia

Jak w „Rewizorze“. Konstanty Anselm zamieścił w „Dzienniku Powszechnym“ następujący feljton, oparty na prawdziwym zdarzeniu:

„Któż z nas nie zna nieśmiertelnej satyry Gogola na zafacanie i głupotę carskich biurokratów, którzy przekupują rzekomego rewizora, w rzeczywistości kanciarza i naciągacza, a potem po odjeździe niebieskiego ptaszka dowiadują się, że padli ofiarą sprytnego oszusta. A wraz z tą ośmieszającą całe towarzystwo wiadomością przychodzi druga: do miasta przybył rewizor, tym razem rewizor ponad wszelką wątpliwość — autentyczny!“

Rolę fałszywego rewizora w tragifarsie, reżyserowanej przez naszą wesołą rzeczywistość, odegrał jeden czynny a drugi były urzędnik z resortu pana ministra Grabowskiego.

Mieszkaniec wsi Małajkowszczyzna ludzkiego powiatu, niejaki Holmut, nie pozostawał w idealnej zgodzie z paragrafami karnego kodeksu. Miał jakieś tam, niezbyt zresztą wielkie, grzeszki, o których przypadkiem dowiedział się pan prokurator. Holmutowi groził wyrok i — odsiadka.

Nic dziwnego przeto, że wpadł w wielką radość, gdy dowiedział się, że „wysoki sąd“ w osobie „sędziego“ i „prokuratora“ zjawił się osobiście w Małajkowszczyźnie, aby przykrą dla Holmuta sprawę załatwić na miejscu polubownie.

— Postawisz, bracie, litrówkę wyborowej, zapłacisz dziewięćdziesiąt złotych gotówką tytułem kosztów sądowych, a my już całą sprawę umorzmy.

Tak mówił „prokurator“, a „sędzia“ tylko głową przytaknął, dodając:

— No, więc szybko, gamoniu, przygotuj stół „do urzędowania“ dla „wysokiego sądu“: litrówkę wyborowej (dobrze będzie, jeżeli zaprawisz cytrynową skórką), parę kurczaków zarżnij, przyniesiesz kwaszonych ogórków, no i wogóle wszystko, co tylko masz lepszego w komorze. A dziewczynki ładne są gdzieś w pobliżu?

„Rozprawa sądowa“ przeciągnęła się do samego rana. Wreszcie pan „prokurator“ zataczając się od ściany do ściany, skierował się ku wyjściu. Za nim podążył „sędzia“.

— Panie „prokuratorze“, a jak tam z moją sprawą? — zapytał przypochlebnie uśmiechnięty winowajca.

— No, cóż, Holmut — odpowiedział za „prokuratora“ „sędzia“ — sam rozumiesz, że to nieładnie, e, te... tego... ale ty, ty j... jesteś byczy chłop! klawy chłop! rozsądny facet! C... co zrobić, każdemu zdarza się K... kosztu sądowe uiściłeś pro... prokuratorowi! No, no... t... to jesteś byczy chłop! Jesteś u... niewin... win... wino b... było dobre...

W kilka dni po „wyroku“ przyszło wezwanie do sądu. Naprawdę Holmut wyjaśniał, że rozprawa odbyła się w jego własnym mieszkaniu, gdzie również sumiennie uiścił 90 zł. sądowych kosztów.

Nie chciano mu wierzyć!

Gdy przybyty i zgnębiony zabierał się ku wyjściu, ujrzał — „prokuratora“:

— Panoczku, ratujcie!

„Prokurator“ chciał dać drapaka, ale nie udało się. Cała afera wylazła, jak szydło z worka.

I oto parę dni temu Raubo, pracownik prokuratury, i File, były urzędnik sądowy stanęli przed sądem okręgowym w Wilnie, oskarżeni o czerpanie korzyści materialnych z nieprzystługujących im nigdy tytułów sędziego i prokuratora.

Sylwetka Holmuta i jego sympatycznych sędziów godne są nieśmiertelnienia w „Rewizorze“ naszych czasów“.

„Narodowcy“ z uznaniem dla Hitlera. Mieczysław Niedziałkowski przytacza w „Robotniku“ ulotkę wydaną w październiku 1936 przez „Stronnictwo Narodowe — Kierownictwo Koła Jeżyce w Poznaniu“ i drukowaną w „Drukarni Polskiej“.

Oto treść ulotki:

„Do Zwolenników Stronnictwa Narodowego.

Czerwona fala komunizmu ogarnia cały świat, grożąc zniszczeniem wszystkich narodów. Świat dzisiejszy dzieli się na dwa

wielkie obozy polityczne: nacjonalistyczny, reprezentujący ideę narodową i komunistyczny, narzucony przez Żydów.

Pierwszy to wyraz wielkości narodów i państw, czego dowodem są dzisiejsze hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy, drugi natomiast — to zniszczenie moralne narodów, upadek wolności i niepodległości państw, przykładem czego jest „raj bolszewicki“ i krwawa pożoga Hiszpanji — gdzie wysłannicy czerwonej Moskwy mordują najlepszych jej synów, broniących wiary, kultury, wolności i niepodległości Ojczyzny“.

Zbrojenia Anglii. Anglja prelimitowała w tym roku budżetowym na zbrojenia 730 milionów funtów szterlingów t. j. tyle,

ile wynosił cały jej budżet w r. 1935. Gdy John Simon, kanclerz skarbu, wniósł swój bill w kwietniu, obliczał koszty zbrojeniowe na 580 milionów funtów szterlingów, dopuszczając jednak możliwość wzrostu ich do 630 milionów. Okazało się, że kalkulacje jego były zbyt skromne. Pod wpływem ostatnich wypadków powstała konieczność powiększenia budżetu wojennego o małą sumkę... 100 milionów funtów szterlingów, t. j. przeszło 2 i pół miljarde złotych! Izba Gmin bez wahania uchwaliła te dodatkowe pozycje. Należy również podkreślić, że uchwaliła ona bill o podwyższeniu gwarancji kredytowych na zbrojenia państw zaprzyjaźnionych z Anglją z 10 milj. do 60 milj. funtów szterlingów.

W Ś R Ó D C Z A S O P I S M

Jantar, organ Instytutu Bałtyckiego. Ukazał się już zeszyt drugi tego starannie pod każdym względem zredagowanego kwartalnika. Wyróżnia się on obiektywizmem naukowym, rzeczowością i wszechstronnością poruszanych zagadnień.

Na początku znajdujemy odczyt prof. Stanisława Kutrzeby „Prawno-państwowe stanowisko Prus Królewskich w latach 1454—1772“. Autor omawia zasady aktu wcielenia stanów pruskich do Polski i jego znaczenie dla dalszego stosunku Prus do Korony. Prusy zaznaczyły od r. 1466 swoje odrębne stanowisko: 1) przy elekcji króla biskup warmiński oddawał głos w imieniu wszystkich senatorów pruskich; 2) senatorowie pruscy nie chcieli brać udziału w radzie królewskiej; 3) także w izbie poselskiej nie zasiadali posłowie pruscy. Były to tylko przejawy partykularyzmu średniowiecznego. Ostateczne zespolenie Prus z Koroną nastąpiło w 1569 r. W tym czasie Polska staje się państwem jednolitem.

„Polityka Kazimierza Wielkiego wobec północnego handlu Polski“ to temat pracy Stanisława Nowogrodzkiego. Autor przedstawia daremne wysiłki Kazimierza celem pozbycia się pośrednictwa zagranicznego — głównie miast krzyżackich — w handlu polskim i oddania go w ręce kupiectwa krajowego oraz jego starania o uzyskanie dla Polski dostępu do morza.

Romuald Gumiński zajmuje się „Rola klimatu w produkcji rolniczej północnego Pomorza“.

Pranas Padalskis, uczony litewski, przedstawia „Uprzemysłowienie Litwy“. Ciekawe spostrzeżenia i uwagi nie mają obecnie większego znaczenia, gdyż są przestarzałe, autor bowiem mówi o Kłajpedzie jako o kraju litewskim. Przez włączenie okręgu kłajpedzkiego do Rzeszy, zdolność wytwórcza przemysłu litewskiego zmniejszyła się o 37%, przedsiębiorstw zaś o 13%. Przydałby się więc artykuł omawiający obecny stan i obecne możliwości przemysłu litewskiego.

„Rozwój polsko-estońskich stosunków gospodarczych w latach 1933—1937“ omawia August Merits. Wartość wywozu z Polski do Estonji jest dwukrotnie wyższa niż przywozu z Estonji do Polski. W wywozie polskim figurują przedewszystkiem produkty spożywcze, surowce i półfabrykaty (sam cukier stanowi 30% całego wywozu). W przywozie z Estonji na pierwsze miejsce wysuwają się świeże ryby, szmaty lniane i półfabrykaty przemysłu włókienniczego. Udział Polski w handlu zagranicznym Estonji wynosi 3,3% (wywóz — 1,3%, przywóz — 2%), udział zaś Estonji w handlu zagranicznym Polski zaledwie 0,4% (wywóz — 0,2%, przywóz — 0,2%). Obroty są zatem niezwykle niskie. Zdaniem autora, ożywienie stosunków handlowych zależy w znacznym stopniu od rozwoju komunikacji morskiej. Handel zagraniczny Polski, który jest bardzo mały, musi się rozbudować, (w 1937 r. bilans handlowy Polski zamykał się kwotą 2.449 milionów złotych, co stanowi 71 złotych na głowę ludności, gdy bilans handlowy Estonji zamykał się kwotą 295 milionów złotych, co odpowiada stosunkowi 230 złotych na jednego mieszkańca). Merits uważa, że możliwości wymiany polsko-estońskiej nie są należyście wykorzystane. Na końcu autor omawia sprawę polskich robotników rolnych w Estonji. W 1937 r. zatrudniono 695 robotników sezonowych, w 1938 — 3.800, w 1939 r. zgłoszono zapotrzebowanie na 7.000 osób.

„Kwestja alandzka“ — niezwykle żywna od pewnego czasu — to temat pracy Apolonji Żaluskiej. Autorka przedstawiła zagadnienie naogół bezstronnie i wyczerpująco. Jest to zdaje się pierwsze źródłowe przedstawienie kwestji alandzkiej w polskiej literaturze naukowej.

Grupa wysp Alandzkich leży u wylotu zatoki Botnickiej, tworząc naturalny pomost

między Finlandją a środkową Szwecją. Główny zrąb stanowi większa wyspa, nosząca nazwę „Stalej Alandji“; wokół niej grupuje się 6.554 większych i mniejszych wysepki zajmujących łącznie powierzchnię 1.426 km². Z tego uprawnej ziemi jest 8,3%, łąk i pastwisk 7,1%, lasów i nieużytków 84,6%. Kraj jest zatem bardzo ubogi. Liczba mieszkańców wynosi 27.743. Ludność utrzymuje się głównie z rolnictwa, rybołówstwa i żeglugi. Alandja posiada znaczną flotę handlową, obejmującą 96 statków (przeważnie żaglowych) o łącznym tonażu 62.000. Ludność od najdawniejszych czasów jest szwedzka.

Wyspy Alandzkie należały do Szwecji do 1809 r., od tego zaś czasu do Rosji. W 1917 r. rozpoczęła się walka o nie między Szwecją a Finlandją. Ludność wysp w plebiscytach objawiła niemal w 100% wolę należenia do Szwecji. Zgodnie z postanowieniem Ligi Narodów wyspy przypadły jednak Finlandji. W 1921 r. ustanowiona została konwencja, określająca neutralność i demilitaryzację wysp. Alandja otrzymała autonomię i gwarancję ochrony narodowości szwedzkiej. Między Alandzycami a rządem finlandzkim trwa jednak ciągła walka. Finlandja chce bowiem wyprzeć element szwedzki z wysp.

W związku z obecną sytuacją polityczną Finlandja postanowiła ufortyfikować wyspy na wypadek napaści. Uczyniła to w porozumieniu z rządem szwedzkim. Jednocześnie uchwalono ustawę o obowiązkowej służbie wojskowej ludności alandzkiej, ale tylko w granicach autonomicznej prowincji. Przeciwnie zaprotestowała żywiołowo cała Alandja, żądając status quo. Zaprotestowała również ludność szwedzka. Jako jeden z głównych argumentów wysunięto zarzut, że Finlandja sympatyzuje z Niemcami i że dzięki niej wyspy Alandzkie mogą się stać doskonałą bazą dla wojsk niemieckich w akcji przeciw Szwecji.

Kwestja alandzka nie jest dotąd ostatecznie rozstrzygnięta. Finlandja chce ją rozstrzygnąć wbrew woli ludności alandzkiej.

„Jantar“ zamykają dwa artykuły drobniejsze: Alicji Belcikowskiej „Józef Piłsudski w Finlandji“ i Edwarda Kuntze „Zródła do dziejów stosunków agrarnych w I flantach“. Dobrze jest prowadzony i spełnia bardzo pożyteczną rolę informacyjną dział recenzji z książek, dotyczących przedewszystkiem spraw bałtyckich.

K O R E S P O N D E N C J A

A. R. Warszawa. Z artykułu o wychowaniu dzieci nie skorzystamy.

P. H. Warszawa. Sprostowanie zamieścimy.

J. Erl. Warszawa. Z artykułu „Propaganda kłamstwa“ nie skorzystamy. Odpowiedni do dziennika.

K. R. St. Lwów. Z wierszy i przekładów nie skorzystamy.

Erw. Gł. Lwów. Artykułu o „drogach pacyfizmu“ nie możemy drukować.

M. G. (H. Orł.). Łódź. Z „noweli psychologicznej“ nie skorzystamy.

M. F. Warszawa. Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy. Z uwag skorzystamy w jednym z najbliższych numerów.

t. b. Zakopane. Wiersza „Zbrodniarze“ nie będziemy drukowali. Niecenzuralny.

St. B. Los Angeles. Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. Z artykułu Agnes Smedley nie możemy skorzystać. Zasyłamy najlepsze życzenia i pozdrowienia.

Marlen. Warszawa. Artykuł drukujemy. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

H. E. Wilno. Jeszcze nie do druku.

L. K. Zielona. Musimy najpierw poznać nowelę.

Z WYSTAW WARSZAWSKICH

Wystawa w Żydowskim Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych obejmuje zbiorowiska pokazy prac Abrahama Frydmana, Benjamina Millera i Emila Umańskiego. O Frydmanie już pisałem niejednokrotnie. Nieprzeciętne możliwości tego interesującego artysty ujawniły się w całej pełni dopiero w związku z bieżącą, zbiorową wystawą. Malarstwo Frydmana nawiązuje poprzez Renoira do najlepszych tradycji francuskiego postimpresjonizmu spod znaku „Ecole de Paris“. Jako kolorysta Frydman posługuje się dość ograniczoną skalą kilku zasadniczych pigmentów, które bezustannie różniczkuje, osiągając wyrafinowane, niezwykle subtelne efekty. Prace jego cechuje wyjątkowość kompozycji budowanej kolorem, przejrzystość i lekkość układu (pejzaże i architektura), zmysłowe, materialne określenie bryły, pomysłowe kontrastowanie barw, rzetelna znajomość rzemiosła, wreszcie utajony, intymny nastrój, płynący wyłącznie z czysto malarskich walorów. Nie wszystkie eksponaty Frydmana są równej wartości. W niektórych dostrzegamy nadmierny wysiłek formalny, powodujący przemęczenie faktury, niemal naukowe traktowanie dywizjonizmu barwnego i afektowane niuansowanie płaszczyzn, a nawet rozbijanie ich na drobne, dynamiczne, nieskoordynowane rzuty. Na szczególną uwagę zasługują znakomite, stylistycznie jeszcze niejednolite, rysunki, odznaczające się nieomylną precyzją i zwieźłością formy.

Całkowicie odrębnym zjawiskiem jest sztuka Benjamina Millera, który uprawia malarstwo zaledwie od roku na marginesie swych zawodowych zajęć. Debjut tego malarza-amatora jest spontaniczną erupcją ogromnego talentu. Malarstwo Millera, najzupełniej instynktowne, wynikające z pod-

świadomej, nieodpartej potrzeby tworzenia, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek „szkołą“ lub kierunkiem. Wizja malarska Millera nie jest jeszcze skryształizowana. Artysta oscyluje między surową, niemal ascetyczną tematyką religijną, ujętą w karby, już dzisiaj określonej, zadziwiająco logicznej kompozycji, a infantylnym, pierwotnym, rejestrującym irracjonalne impulsy, widzeniem rzeczywistości. Obok dekoracyjnej, płynnej, płaskiej plamy — widzimy u Millera tendencje linearne, konturowe, wreszcie próby wyodrębnienia przestrzeni trójwymiarowej, perspektywicznej bryły. Miller frapuje nie tylko orgjastyczna, niepohamowana, ciekawą nawet w najbardziej prymitywnych, nieoczekiwanych zestawieniach kolorystyką, lecz również zadziwia indywidualnym, pełnym swoistego uroku, niekiedy wręcz doskonałym rysunkiem i odczuciem konstrukcji obrazu (kompozycje religijne). Jak się rozwine i ukształtuje w przyszłości malarstwo tego niesamowitego „dyletanta“? Odpowiedź na to pytanie, prognozy, przestrogi, rady moralne i t. p. pozostawiam naszym zawodowym i nieomylnym krytykochlasmom. Myślę tylko, że niepokojąca ta sztuka, która naraz zakwitła, jak egzotyczna orchidea, nie będzie krótkotrwała.

Pan Emil Umański posiada poczucie politycznego szmoncesu i prymitywnego komizmu sytuacyjnego. Sztuka jednak, to coś znacznie więcej i coś całkiem innego. „Karykatury“ p. Umańskiego są niestety pozabawione jakichkolwiek walorów artystycznych. Rozpaczliwie niedołążne w rysunku, o brudnej, niechlujnej technice, są typowym, żalonym przykładem gazeciarskiego parcia i grafomanji, mających niekiedy groźne, „artystyczne“ pretensje.

Leon Strakun

W Ś R Ó D P O E T Ó W

Eugenjusz Żytomirski. Zimowe kolory. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 34 i 2 nl. — Józef Mirski. Strofy miłosne. Przekłady. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 60 i 4 nl. — Jerzy Pleśniarowicz. Śpiew pierwszy. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 29 i 3 nl.

Gdyby na którymś z polskich uniwersytetów był wydział poetycki i gdyby Eugenjusz Żytomirski był słuchaczem tego wydziału, to zapewne ten jego czwarty tom okazałby się wcale porządną pracą dyplomową. Nawiązując świadomie do twórczości Skamandrytów, w szczególności zaś do twórczości Lechonia z okresu „Srebrnego i Czarnego“, autor nauczył się wiele. Wiersze jego są melodyjne, rytmika jest starannie wygładzona, ilość sylab utrzymana w karnym porządku i wiersz rozwija się według zasad poetyki kanonizowanej przez niektórych krytyków poetyckich. Chwyty są starannie podpatrzone i stosowane udanie. Tematyka wierszy oparta jest głównie na rozważaniach i medytacjach spowodu przejść miłosnych, nie wybiega jednak poza ustalony schemat. Daremnie szukalibyśmy utworu, w którym autor, odrzuciwszy pomocne dłonie mistrzów, kroczyłby własną ścieżką. Daremnie szukalibyśmy własnego wyrazu, własnego języka, własnych spostrzeżeń. Spostrzeżenia innych ubrane są w zgrabną, ale przeciętą cudzą formę. Tworzy te czyta się bez wzruszenia, bo wzruszenia i niepokoju twórczego nie ma tam, gdzie uwaga autora skierowana jest na przystosowywanie się do obcych wzorów. Gdyby autor, ucząc się sztuki poetyckiej, analizując formę i chwyt poetyckie swych mistrzów, przetwarzał je osobiście, wtedy próba taka mogłaby być twórcza; obecnie praca ta świadczy tylko o bezsprzecznych zdolnościach wersyfikacyjnych i o dobrym smaku autora.

„Strofy miłosne“, przekłady Józefa Mirskiego z liryków Katullusa, Minnesengerów, Petrarki i Heinego, są pewnego rodzaju antologią wierszy miłosnych, antologią o tyle ciekawą, że autor unikał jakiegokolwiek wartościowania i wybrał utwory, kierując się jedynie dobrym smakiem. Niestety, przekłady nie zawsze stoją na odpowiednim poziomie i wiele jest słabo opracowanych; mam także pewne wątpliwości w związku ze spolszczeniem nazwisk Minnesengerów. W nazwisku np. Burgraf von Rytenburg, von już wtedy było ściśle zrośnięte z nazwiskiem. Tłumaczenie von na z jest zatem nieślusne.

O dużym talencie świadczy debiut poetycki Jerzego Pleśniarowicza. Młody autor, poszukując swego wyrazu, nawiązuje do twórczości Czechowicza; nawiązywanie to nie jest jednak pojęte mechanistycznie. Pleśniarowicz rozbudowuje melodykę czechowiczowską i osiąga bardzo ciekawe rezultaty. Wiersze jego są melodyjne; melodia ta nie jest naskórkowa, wynika z wyjątkowej muzykalności autora i jest jednym z najbardziej zasadniczych elementów wiersza, elementem, który częstokroć cementuje i usprawnia utwór. Obrazowanie i kompozycja utworów, nawet kompozycja graficzna, wy-

wodzą się również z twórczości Czechowicza, ale nawet i w tym wypadku autor nie poprzestaje na naśladowaniu, stara się bowiem przełamać wzory, wprowadzając często własne widzenie świata. W tem naśladowaniu tkwi nie tylko zaleta tych doprawdy czarujących utworów, ale także poważne niebezpieczeństwo dla dalszej twórczości Pleśniarowicza.

Przyswajając sobie obce wzory, które nawet poecie odpowiadają, można jedynie bardzo krytycznie i w wyjątkowych wypadkach; jeśli się chce, by elementy naśladowane okazały się twórcze, muszą być całkowicie przetworzone i wchłonięte przez poetę. W przeciwnym wypadku rzemiosło zasłoni twórczość. W takim wypadku również postawa awangardowa poety, walczącego chociażby tylko na płaszczyźnie zagadnień artystycznych, jest bardzo wątpliwa, nie mówiąc już o tem, że nie wyobrażam sobie naprawdę awangardowego poety, który nie posiadałby szerokiego, humanistycznego poglądu na świat. Poeta prawdziwie odkrywcy powinien poprzez dialektyczną analizę siebie i świata dążyć do syntezy; wtedy wiele elementów muzyczno-wizualnych okaże się barokowym nadużywaniem szczegółów.

Oczywiście, nie wszystkie te uwagi odnoszą się do książki Pleśniarowicza, tem bardziej, że jest to debiut i to debiut ambitny; wiersze te wnoszą bowiem świeżość i temperament młodości, a nadewszystko znaczącą prawdziwego poety, a to jest najważniejsze.

Jan Śpiewak

Następny (75) numer Sygnałów zawierać będzie 12-16 stron.



CODZIENNY PORANNY ORGAN WSZYSTKICH LUDZI PRACY W A L C Z Y

**o demokrację
Przynosi:
najświeższe
wiadomości
z kraju i zagranicy
Cena numeru 10 gr.**

Wszystkie choroby przemiany materji usuwacie szybko pijąc syntetyczną WODĘ MINERALNĄ LITOWĄ »ZDROWIE« Do nabycia w aptekach.